

Dyskusja o Szeli trwa!
W naszym numerze nowe głosy.

Cena 7 zł.

Wies

Dyrekcja Biblioteki Nar.
Warszawa
Rakowiecka 6

1 e

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 31 marca 1946 r.

Nr 12 (40)

Drugi Kongres Samopomocy Chłopskiej

Ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej łączy nas, intelektualistów ludowych, nas, pisarzy, poetów, literatów chłopskiej grupy radykalnej, nas, postępowych działaczy wiejskich — łączy, łączy i nadal będą łączyć więzy najserdeczniejsze, nadzieje najistotniejsze, plany najbardziej nam drogie.

Gdy piętnaście miesięcy temu, w ostatnim dniu grudnia 1944 r., zjechali do Lublina delegaci chłopscy z kilku załedwie wyzwolonych skrawków Rzeczypospolitej, Polskiej, z Warszawskiego, Lubelskiego, Rzeszowskiego, Kieleckiego, Białostockiego, — z tego „Przyczółka Polski”, z którego przecież, jakoby z eksperymentalnej cieplarni, rozwinęło się na kraj całe ziarno Polski Ludowej, — wtedy to powiedział ktoś z pośród zebranych: „Delegaci, którzy dziś biorą udział w naszym kongresie, ustanawiającym statut nowej organizacji chłopskiej — Związku Samopomocy, z dumą kiedyś o tym będą wspominali”.

Ale były to czasy tak niezwykle i dramatyczne, tyle zmian zajmujących wyobraźnię zachodziło w świecie, że powstanie Związku Samopomocy nie skupiło należytej uwagi społecznej. Właśnie nadchodziły wiadomości o zniszczeniu stolicy, budowanej przez 700 lat, a za dwa tygodnie przyszło wyzwolenie całej ojczyzny, upadek jednego z najbardziej zbrodniczych mocarstw w historii, i odbudowa państwa na innych zupełnie zasadach. W ogniu tych historycznych zdarzeń niewiele zdawało sobie sprawę, czym jest, — i czym być może nowa organizacja. Nie wielu wiedziało, że utworzenie jej jest faktem nierównie ważniejszym niż przeprowadzenie Reformy Rolnej, że jest to największy związek jaki w swych dziejach uformował lud polski, że jest to wreszcie jeden z typowych twórców nowej Polski, prawdziwa jej żrenica, twór bardziej charakterystyczny i istotny, niż wiele innych o sławie nieporównanie większej, zajmujących wyobraźnię publiczną w tym okresie wielkiej odmiany.

I dziś zresztą pozostał Związek bardziej nadzieją, niż ostatecznym osiągnięciem; ciągle jest on szansą, spodziewaniem, możliwością, ciągle nie jest jeszcze dokonaniem, — mimo, że przecież zrobił już tak wiele. Długo jeszcze przecież działalność jego musi być połowiczna, zanim nastąpi to co jest jego celem: przebudowa rynku rolniczego, zorganizowanie gospodarki chłopskiej na najpowszechniejszej, ogólnopolskiej płaszczyźnie, wreszcie przekształcenie warunków życia, ekonomii i kultury wsi polskiej. — na której wszak żyje 60 proc. obywateli państwa polskiego. Tu dopiero widać wpływ, jaką ta organizacja musi mieć na przyszłość już nie chłopów polskiego, a całego narodu. W tym dopiero celu ostatnim widać, o ile jest ona ważniejsza od innych reform dotychczas dokonanych, które bez niej rychło mogłyby być zachwiane i cofnięte w swym wyniku. „To co do tej pory się stało, to jeszcze nie „reforma rolna” — to załedwie podziół ziemi” — oto słowa, jakie padły przy założeniu Związku Samopomocy. Był on organizacją specyficzną polską, — boć przecież reformę przeprowadzono w tym czasie i na Węgrzech i w Czechosłowacji i w Rumuni — a nawet w Niemczech, — ale nigdzie nie powstała organizacja tego typu co nasz Związek. Był to pomysł i wkład organizacyjny świeży, projekt do niczego niepodobny, eksperyment, który musiał szukać sobie dróg nowych. Niepodobny do systemu kolchozicznego w ZSRR, opartego nie na prywatnych gospodarstwach, a na upaństwowionych folwarkach, — a jednak równie doniosły i ważki w wymiarze ostatecznej przebudowy; niepodobny do żadnego systemu Izb rolniczych, spółdzielni spożywczo - produkcyjnych czy innych organizacji zdecentralizowanych, istnie-

jących i u nas przed wojną, a po wojnie w wielu państwach europejskich, — a przecież posługujący się tym samym sposobem docierania gospodarczego do dołów. Ma nasz Związek wszystkie szanse, by wykorzystać doświadczenia tamtych organizacji, i stworzyć nasz polski typ, prawdziwie nowoczesny, posługujący się osiągnięciami wszystkich dotychczasowych prób, dostosowany do naszych niepowtarzających się warunków, do naszych tradycji, nawet do naszego temperamentu i uosobienia narodowego.

Oto dlaczego my, intelektualiści chłopscy, z radością przyjęliśmy powstanie Związku. Wiele wygłoszono wtedy frazesów o nowej roli chłopów polskiego, o jego udziale w demokratycznym państwie o przebudowie systemu. Ale było dla nas zawsze jasnym, że tego rodzaju rewolucje dokonują się tylko w konkretnej pracy społecznej, którą musi udźwignąć jakiś związek. Nie mogły to być partie polityczne, w ciasnym zakresie działające, nie tyle postępowi, co doraźni problemom poświęcone. Nie mogły to być dotychczasowe organizacje spółdzielcze, kramarskim duchem zarażone, powodowane ciasnymi tradycjami z epoki poprzedniej, gdy nagiąć się musiały do antyludowego systemu gospodarczego. Musiała to być organizacja nowa, olbrzymia rozmiarem uczestnictwa członków, oparta na wynikach reformy rolnej, jednocząca cały handel wsi z miastem, jednocząca wszystkie ośrodki produkcyjne podworskie, zdolna regulować cały rynek rolno - do handlu zagranicznego włącznie, wreszcie realizująca program kulturalny, jakiego do tej pory nikt w historii chłopów niekreślił i wykonać nie był w stanie.

Patrzyliśmy z niepokojem na pierwsze kroki naszej organizacji, tak trudne w kraju zdeławstowanym, martwił się się wspólnie wszystkimi pierwszymi trudnościami, które pewnie przejdą do historii, obserwowaliśmy jak Związek ratował reformę, zasilał chłopów w ziarno siewne, nawozy, narzędzia, bez których zrozpaczo ny rzuciłby ziemię; jak uczestniczył w wędrówce na Zachód, tak by nie odbyła się ze szkodą dla uprawy, — jak potem, w następnym etapie, wszedł w antagonizm ze „Społem” i spółdzielniami z którymi jego kompetencje, przy niejasności i szerokim zakresie planowania, pokrywały się lub chciałyby się pokryć; jak trwał (i trwa) spór o resztówki z organizacjami politycznymi i innymi, które prawem kaduka objęły wcześniej te placówki produkcji rolnej, rozstrzygające o bycie i niebycie Związku.

Popierałmy pismo „Chłopi”, które dziś doszło do tak wspaniałego rozkwitu, że stało się głównym organem nowej wsi, dystansując pisma partyjne; wreszcie z udziałem Związku zorganizowaliśmy nasz oddział ZWLP na 7ieździe warszawskim (sierpień 1945) kosztem i wysiłkiem Związku, w ramach jego zamierzeń kulturalnych.

Bo jest dla nas faktem niewatpliwym że jedynie organizacja może zrealizować przebudowę, o której mówią hasła. Bo jest to organizacja, która jedynie będzie zdolna wies wybronić z impasu kulturalnego, jakim jej zagraża obecne rozdarcie polityczne. Działania dziś na wsi silne, które pragną odgrodzić wies od miasta zatrzymać ją w jej dumie odrębnej, w jej etyce rolniczej, pogrążyć ją w kult agraryzmu. Sprzeczny temu fakt że wies dzisiaj, to setki tysięcy drobnych gospodarstw powstałych z reformy. To jest dość, by być na nem u siebie i dumnym, i pogardzającym resztą. Ale za mało by się naprzód posunąć, by kupić traktor i sprawić elektryczność. Właśnie Związek, sumując środki drobnych posiadaczy, osiąga siłę jakiej nikt nie widział — on to sprawi maszynę, on dostarczy prąd, szkołę i asfalt na wies.

Z konieczności, po prostu z racji swego założenia głównego, — nie będąc komunistycznym, jest przecież Związek czynnym iem ewolucji chłopskiej — rzeczniczem nieuchronnego postępu, który uratuje wies od wstecznego separatyzmu.

O tym dobrze wiedzą pisarze chłopscy
Stanisław Merkiś

2-gi Kongres Związku, zwołany po raz pierwszy po 14 miesiącach istnienia organizacji, jest zdaniem tak ważnym tak obfitującym w tematy dla nas istotne, że powrócimy do niego jeszcze obszernie w następnych numerach. Dziś dajemy relację, sprawozdanie, program najważniejszych problemów, które się dla nas wyłoniły na tym przeglądzie spraw chłopskiej gospodarki, jaki przyniósł Kongres.

Trzy plany: ideologia — osiągnięcia — projekt przebudowy

W JAKIEJ DEMOKRACJI?

Osiągnięcia gospodarcze Związku, przedstawione na Kongresie Samopomocy Chłopskiej, mają swoją wymowę; są potwierdzeniem tych zasad ideowych, jakie przyświecały pamiętnemu kongresowi chłopów na małym wówczas skrawku wyzwolonej ojczyzny 30 i 31 grudnia 1944 roku. „Bracia Chłopi! Po raz pierwszy w dziejach otrzymaliśmy możność współzadania państwem. Od nas zależy, czy potrafi my zdać egzamin dojrzałości. Czy potrafimy?... W tym celu powołujemy do życia Związek Samopomocy Chłopskiej — organizację demokratyczną życia gospodarczego na wsi”. — I oto mija 14 miesięcy. Najważniejsze osiągnięcia jakie dokonały się w ciągu tych 14 miesięcy na polu gospodarczym — przeprowadzenie reformy rolnej, nacjonalizacja przemysłu, transportu, banków i kopalń i likwidacja rodzinnych trustów i zagranicznych wyzyskiwaczy są wyrazem stałej polityki nowego odrodzonego państwa polskiego, są wyrazem zasad ideowych, na jakich oparł się Związek. Formułuje je jeszcze raz na II kongresie ob. Burdzy:

1) Chłopi nie mogą dopuścić nigdy za żadną cenę do powrotu obszarnej władzy i szlacheckiego wladania na wsi polskiej, 2) Chłopi nie mogą dać się użyć nigdy więcej za narzędzie sił wstecznych i zdobyta samodzielność i stanowisko chłopów, obywateli i współgospodarzy państwa, mają chronić przed zakusami reakcji, 3) Chłopi nie mogą dopuścić do powrotu tego porządku, który opierał się na wyzysku człowieka przez człowieka, na eksploatacji chłopów przez państwo kapitalistyczne, banki, koczujące kupców i wiejskich wyzyskiwaczy — i wreszcie czwarta zasada, która stanowi fundament ludowej władzy i demokracji, zasada jednoci chłopsko-robotniczej: chłopi nie mogą dopuścić do poróżnienia ich z robotnikami, muszą wzmocnić gospodarczą jednoci narodu przemysłowo-rolniczego.

To są zasady ideowe polityki Związku Samopomocy Chłopskiej. W tych szerokiach ramach mieści się szczegółowy, praktyczny program działania.

OBRACHUNEK OSIĄGNIĘC

Na początku niepodległości czekało Związek ogromne dzieło reformy rolnej, która miała dać ziemię nie bogaczom wiejskim ale chłopom nie posiadającym ziemi, lub posiadającym ją w niedostatecznej ilości. „To dążenie do wyrównania krzywdy społecznej stanowi najistotniejszą różnicę między Z. S. Ch., a przedwojennymi kółkami rolniczymi, które obejmowały załedwie część wsi i mając podejście tylko fachowe, usiłowały podnieść kulturę rolną kraju bez rozwiązywania kwestii społecznej”. Droga jaką idzie Związek, prowadzi do dobrobytu całej wsi, a nie tylko jej części. Dziś jeszcze wies żyje w nędzy i tkwi korzeniami w tradycyjnej technice gospodarki, ale jutro?

*) Ze sprawozdań i wypowiedzi wicepr. Federacyjnego i członków Zarządu Głównego

Jedną z takich dróg, prowadzących ku dobrobytowi, jest rozwój spółdzielczości. W ciągu 14 miesięcy Związek zorganizował półtora tysięcy spółdzielni Samopomocy Chłopskiej. Obroty tych spółdzielni wynoszą czwartą część obrotów olbrzymiego aparatu „Społem”. Zasadniczą cechą spółdzielni ZSCH jest ich wielokierunkowość — obejmują one wszystkie główne dziedziny życia na wsi, reorganizując gospodarkę rolną, przemysł, handel, i życie kulturalno - oświatowe. Podstawą ruchu spółdzielczego są resztówki popańskich folwarków oraz znajdujące się na nich zakłady przemysłu rolnego, jak gorzelnie, tartaki a także chmielniki, stawy rybne itp. Spółdzielnie przejęły dotychczas z górą 2.600 resztówek, na których znajduje się 950 młynów, 210 gorzelni, 6 browarów, 90 piekarni, 25 mleczarni, 30 olejarni, 50 cegielni i szereg innych przedsiębiorstw.

Celem skoordynowania prac oraz udzielania pomocy wzajemnej powstało w listopadzie r. ub. ogólnokrajowe Zrzeszenie Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

„Oprócz zadań gospodarczych, realizowanych przez spółdzielczość, zadaniem Samopomocy jest podniesienie poziomu rolnictwa i tutaj zadanie Związku spotyka się z działalnością Izb Rolniczych. — W najbliższej przyszłości Związek przystąpi do ostatecznej rozrywki o likwidację Izb Rolniczych, które miały być samorządem rolniczym, a stały się szkodliwym i kosztownym przyżytkiem”.

Ważną robotę prowadzi Związek na odcinku kulturalno - oświatowym wsi. Związek prowadzi lub subsydiuje około 100 średnich szkół chłopskich, inicjuje utworzenie bibliotek gminnych, organizuje kursa kierowników świetlic i sieci korespondentów terenowych, podejmuje akcje wychowania fizycznego i zdrowotności na wsi, zorganizował pierwszy zjazd pisarzy chłopskich; dla upamiętnienia reformy rolnej ZSCH ufundował 15 stypendiów po 1000 zł miesięcznie dla chłopskiej młodzieży akademickiej, uchwala nagrody dla działaczy naukowych i pisarzy.

Związek współdziała i pomaga w odbudowie szkolnictwa rolnego, zorganizował już w kilku województwach zespoły przysposobienia rolniczego. Posiada własne wydawnictwa o charakterze fachowo - rolniczym i społeczno - kulturalnym; celem uzgodnienia działalności w dziedzinie oświaty rolniczej z działalnością wydawniczą organizuje przy Zarządzie Głównym ZSCH Instytut Oświaty Rolniczej. Zarząd powołał również do życia Naukową Komisję Doradczą przy współudziale której opracował plan zagospodarowania resztówek pod względem sadownictwa i warzywnictwa, zorganizował resztówek szkolarskich wydaje specjalne instrukcje rolnicze.

Na równi z realizacją reformy rolnej ZSCH zajął się gorąco sprawą osadnictwa polskiego na odzyskanych ziemiach zachodnich. W wyniku tej akcji Związek wysłał z terenów centralnej Polski w pierwszym półroczu roku ubiegłego (jeszcze przed zorganizowaniem PUR oraz przed powstaniem Komitetów Przesiedleńczych) przy pomocy swych kół terenowych ponad 80.000 rodzin chłopskich tj. około 200.000 ludzi, z tego z woj. lubelskiego 118.000 ludzi, z woj. krakowskiego 11.000 ludzi, z woj. rzeszowskiego 7.000 ludzi, z woj. kieleckiego 2.700 ludzi.

W chwili obecnej Związek Samopomocy Chłopskiej jest w Polsce pod względem ilościowym jedną z największych organizacji zawodowo - społecznych. Komórki organizacyjne objęły już wszystkie powiaty. Na dzień 1.1.1946 było zarządów wojewódzkich 14, powiatowych 245, gminnych 2264, kół gromadzkich 18.449, członków 611.972. Związek posiada 30 posłów w KRN, którzy biorą udział w komisjach poselskich, przede wszystkim w komisji rolnej, oraz w komisji spółdzielczości, aprowizacji handlu i kultury. Związek ma swych delegatów w Radach Nadzorczych instytucji kredytowych, gospodarczych i społecznych, działających na wsi. Przedstawiciele Związku

Sprawa chłopska w literaturze

biorą udział w posiedzeniach Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, w Komisji Nadzwyczajnej do walki z nadużyciami interwencji we wszystkich sprawach ważnych dla życia wsi.

Związek przeprowadza akcje siewne, żniwne, orne, pomaga, współpracuje, prowadzi i uczy. Związek przeprowadza akcje odbudowy wsi (plany na rok bieżący, odbudowa 50.000 gospodarstw zniszczonych).

GOSPODARZA I KULTURALNA PRZYSZŁOŚĆ WSI

Lubimy powoływać się na nasze podobieństwo z Danią, ale w przedświatku do „Wsi duńskiej” prof. Stefan Szmidt pisze: *A jednak wieś polska i wieś duńska bardzo od siebie odbiegają. Bo wieś duńska ma za sobą ewolucję gospodarczą... Wynikiem tej ewolucji jest dobrobyt, z którego korzysta nie tylko chłop, lecz całe społeczeństwo duńskie. Tymczasem wieś polska żyje dotąd w nędzy. I ciągle jeszcze tkwi korzeniami w przeszłości.*

Badamy tedy wsią nie gorszą od duńskiej. Ale w takim razie trzeba nam — jak mówi poseł St. Cieślak w referacie gospodarczym — po 1) mieć również co najwyżej 28 proc. rolników w Polsce i to takich rolników, którzy orzą, sieją, i przemysł rolniczy prowadzą i przez spółdzielnie sami handlują,

po 2) dążyć więc, aby wielki przemysł w kraju rozwinąć, dokąd odpłynie część sił produkcyjnych wsi,

po 3) przemysł na wsi (przede wszystkim rolniczy) rozwijać, aby powiększyć opłacalność rolnictwa i stworzyć nowe rodzaje pracy na miejscu,

po 4) przejść na specjalizację produkcyjną w rolnictwie — co znów zwiększy opłacalność rolnictwa,

po 5) rozwinąć spółdzielczość zbytu i wymiany własnych towarów a nie surowców na towary innych gałęzi przemysłu,

po 6) nauczyć się operować masowo kredytem inwestycyjnym, który w planowej gospodarce urzędowej jest najsmielsze projekty.

A taka wieś, gdzie wzrasta specjalizacja rolnicza przemysł i spółdzielczość po 1) — jak mówi poseł J. A. Król w referacie o drogach rozwoju kultury wsi polskiej — daje pracę coraz to większej ilości chłopów a z nią zarobek, bo stwarza nowe zawody, po 2) wymagając specjalizacji, wymaga większej wiedzy, a to prowadzi skośli do wyższego poziomu umysłowego i do wyższych dochodów.

Mobilizacja do bogactwa we wsi o takich perspektywach gospodarczych prowadzi zatem przez mobilizację w warstwie chłopskiej wszystkich potencjalnie w niej drzemiących takich zdolności, jakich różnorodność, a wspólnie osiągnięta nie tylko w polskim narodzie, ale w całym świecie ujawniały się dotąd masowo.

Dziś jak mówił J. A. Król — chłop nie tylko chce masowo pokazać te możliwości, ale chłop wie, że musi, bo on dziś odpowiada za naród jako jego rzeczywisty współgospodarz.

Na tak gospodarczo rozwijającej się wsi zaistnieją warunki do masowego startu ludu polskiego w narod polski a w ten sposób w historii Europy i świata nazwiskami, czynami i dziełami uczonych, wynalazców, polityków, inżynierów, techników, lekarzy, organizatorów, artystów — chłopów.

Łamiąc zasadę, że chłop to tylko rolnik, będziemy mieli na wsi, podobnie jak w Danii i chłopów nie rolników (dotąd 8 milionów bezrobotnych), ale chłopów co zakładają elektryczność, budowlę dla instytucji użyteczności publicznych, domy z nowoczesnymi urządzeniami, higienistami, lekarzami, oświatowcami, pisarzami, tych co przemysł prowadzą, wielką spółdzielczość chłopską i pośród tego świata cywilizowanego chłop — rolnika fachowca, oświeconego, w dobrobycie, kolegę dyrektorów i wojewodów nie tylko w prywatnej znajomości, ale i na utytułowanym fotelu. Bo ten chłop nie będzie już tylko reprezentował.

To co w referatach teoretyków Z. S. CH. zostało nakreślone tak w perspektywie gospodarczej, jak w kulturalnej, ma mocną, realną podstawę w samej robocie i osiągnięciach mas chłopskich już w tym pierwszym okresie życia Związku i jego początków.

Z tych osiągnięć, z tych prac jedno można wyciągnąć — chłop rzuci przekleństwo na swoją niewolę pańszczyźnianą nie tylko w sensie politycznym, ale i w sensie kulturalnym. Dziewięć wieków tamowano mu drogę do życia w narodzie. Dziś chce jak najszybciej nadrobić zaległości, bo i obowiązki tego wymagają.

Postęp gospodarczy, postęp kulturalny to jest ta jedynie rzeczywista droga zrównania się obywatelskiego z „górami” narodu i dania narodowi gwarancji, że od warstwy chłopskiej Polska rządzącej nie doczeka się on ruiny i utraty znaczenia w świecie.

Jasne plany prowadzą do takiego schłopienia Polski, w którym nareszcie skarbiec utajonych wartości 3/4 narodu będzie mógł być dla ojczyzny oddany w stanie nie surowym jak ruda, ale przetworzoną w retortach fizyków i chemików, w uczelniach, w fabrykach, aby w nowoczesnej Europie stworzył nam najgodniejszą pozycję.

Józef Łosin

„Sprawa chłopska w literaturze” stanowi zamknięcie broszury Stanisława Przytuły p. t. „Z historii chłopów polskiego”. Ten zbiór fragmentów z dzieł wybitnych pisarzy Polski przedrozbiorowej, Polski szlacheckiej ma szczególnie silną wymowę na tle całej pracy, przedstawiającej w zwięzłym zarysie dzieje wielowiekowej niewoli polityczno-społecznej polskich mas ludowych. Ale i poza broszurą spełnia on swoją rolę: zapoznał nas z poglądami pisarzy, którzy jeśli sami nie pochodzili ze szlachty (jak np. Szymonowicz, Staszyc, Hugo Kollataj), to jednak wyrosli w środowisku, którego życie duchowe określała kultura będąca wytworem szlachty i służącej jej interesom. Warto byłoby z tym zbiorem opinii postępowych pisarzy Polski przedrozbiorowej zestawiać opinie dla chłopów niechętnie od średniowiecznej „Satyry na leniwych chłopów” poczynając. W każdym bądź razie, praca Przytuły daje obraz walki o poprawę doł mas ludowych, walki, która polska myśl postępową podjęła w wieku XVI (Andrzej Frycz Modrzewski) i prowadziła — pomimo przynajmniej przewagi staroszlacheckiej reakcji — aż do pierwszego swego zwycięstwa: do konstytucji majowej z 1792 roku, a po tym przez cały okres niewoli i dwudziestolecie drugiej niepodległości oraz przez czasy hitlerowskiej okupacji, aż do dekretu o reformie rolnej z dnia 6-go września 1944 roku, który ostatecznie przemienił Polskę z folwarku klas posiadających na państwo całego narodu.

Pamiętamy stale, czytając prace Przytuły, że jeżeli dziś cytowane przez niego fragmenty mają jedynie wartość dokumentu historycznego, to w momencie, kiedy powstawały, były one wyrazem protestu najsilniejszych sumień i najszybszych umysłów swego czasu na zło, które działo się codziennie i w każdym miejscu Rzeczypospolitej. S. L.

Andrzej Frycz Modrzewski (1503—1572).

De republica emendanda (O naprawie Rzeczypospolitej): Samą tylko szlachtą kwitnąć nie może, bo a któż będzie dodawał żywności nam i bydłu, jeśli żadnego oracza nie będzie? Któż nam podawać będzie odzienia i ubioru, jeśli nie będzie rzemieślników? Któż rzeczy potrzebne będzie przyswoił, jeśli żadnego kupca nie będzie? Któż na ostatek będzie szlachcicem, jeśli żadnego chłopą nie będzie?...

Prawa są, jakby lekarstwa, w którego dawanu żaden biegły lekarz na osoby nie ma baczenia... Jeszcze pan czyli chłop, jeśli szlachcic, czyli nieszlachcic... tymże sposobem prawa niech się u siebie mają, aby występki winnych jednakim obyczajem karały...
De poena homicidii. (O karze za zabójstwo): Ktoby wieśniaka albo chłopą zabił, jakoby też psa zabił.

Sebastian Klonowicz (1550—1602) — Worek Judaszowy:

...kmioteczek ubogi, ustawnie do dwora
Robi sobą i byłem aż do wieczora,
Karimi się ustawicznie biedą i kłopotem,
Zimnem i upałem, łzami, dymem, potem,
Cierpi huny, biskupy, korbace, gąsiorzy,
Osoczniki, pochlebce, podatki, pobory,
I pany furjaty, opitę tyrany
Pyszne, chłw, uszeczne, gorsze
niż pogany.

Flis:

Jak osieł chłopiek nigdy bez kłopotu
Nie oschnie z potu.
Wsi nie nasycą pana choć jednego
Jak uszyszko gnie, co użną poddani
Jak by w otchłani

Szymon Szymonowicz (1558—1629), Żeńcy:

Stonczko śliczne oko, dnia oko pięknego!
Me jesteś ty zwycięzów starosty naszego.
Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemu zda

Chciałby on, żebyś ty od północy ustawał;
Ty bieżysz od południa zawsze twoim torem,
A onby chciał ożenić południe z wieczorem...
...Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi

A on wszystko porobić chce w jednej

Ty czasem pieczesz, czasem wionęć

Pozwolisz i naszemu dogodzisz znojowi:
A on zawsze: „Pożnaj! nie postawaj!”

Nie pomnę, że przy sierpie twój pot

Idzie z czoła.

Szczęście twoje, że odszedł starosta na stronę,
Wziąłabyś była pewnie na buty czerwone,
Albo na grzebet upstrzony za to winszowanie,
Słyszysz, jakie Marusze daje tam

śniadanie?

A słaba jest nieboga: dziś trzeci dzień ustawał
Z choroby, a przedsię ją na żniwa wygnata
Niebaczna gospodyni...

Patrz, jak ją kują, za głowę się ją —

Nieboga, przez łeb ją ciął, krwią się

obluznęła.

Podobno coś mu rzekła...

Zart pański stoi za gniew i w gniew się obraca,
Ty go słowkiem a on cię korbaczem namaca.

Krzysztof Opaliński (1610—1656). Na ciężary i opresję chłopską w Polsce:

Serce się lęka, skóra drze, wspomniawszy
Na tę niewolę, którą cięższą, niż pogańską!
A! dla Boga Polacy! czyście oszaleli?
Najprzód jakie ciężary w samych

Gdzie bywało dwadzieścia kmieci albo

Tam ich ośm albo dziesięć a przecie to

Każą dziesięć, co ich dwadzieścia robiło.

Gdzie przedtem wychodziło ludzi

Z domu, potem i po dwu, po trzech

Gdzie dwa dni, albo i trzy robili w tygodniu,
Teraz nie mają czasem wolnego żadnego.

Wacław Potocki (1625—1690). Satyra:

Nie jeden się też wiesi, woli na powrozie,
Niż umierać z bicia albo w gąsiorze

Samże ksiądz na śmiertelnej pościeli

pisarzem testamentu, sam egzektorem;

choć więcej nie zostało tylko jedna krowa,
niech dzieci głodem pomrą — na kół dół

Ks. Piotr Skarga (1536—1612), Kazania Sejmowe (VII):

Dotknąby i onego złego prawa, któremu kmiecie i wolne ludki Polski i wierne chrześcijany, poddane ubogie niewolnikami czy...

Jeśli nie kupieni, ani pojmani, jeśli Polacy teje krwie, nie Turcy, ani Tatarzy, jeśli chrześcijanie, czemuż w tej niewoli stekają?...

Na twojej roli siedzi a zleć się zachowa, spędz go z swej roli, a wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nie bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędzię nie czyni.

Starzy chrześcijanie, którzy za pogaństwa niewolniki kupne mieli, wszystkim wolność dawali jako braciej w Chrystusie, gdy się świętym chrztem z niewolej diabelskiej wyzwolili, a my wierne i święte chrześcijany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą znie-
wałamy i jako okupione bydlę, gdy na swej nędzy uciekać muszą, pozrywamy i gdy żywności swej indziej, ubodzy i znędzeni szukają, okup na nich, jak Turcy na więźnie wy-
ciągamy.

O, co się łupiestwa nazbierało między ludźmi a gwałtacza pany! Jakie poddanych ubogich i kmieci obłupienie, jakie uciski wszędzie!...

O, jako jako jest wiele w ty królestwie poddanych ubogich, na które królowie złym niektórym ludziom i krwie żarłokom tyrańskiemu i łakomemu serca wilkom, dożywocie, niewiedząc, aby tacy być mieli, zapisałi. Którzy uciążeni, umęczeni od nich, śmierci tylko złych onych urzędników czekają. A le-
dwie jest inne lekarstwo na ich wybawienie dla trudnej sprawiedliwości okrom samej śmierci...

Grzechy te i opresje tyrańskie wołają do Pana Boga, a bez pomocy być nie może, która się na wszystko królestwo obali.

Król Jan Kazimierz, Śluby:

Gdyż z wielkim bólem duszy mojej jasno widzę, że z placu i ucisku ludu Syn Twój, sprawniły Sędzia, zesłał w ciągu tego siedmioletnia na królestwo plagi i zarazy, wojny i innych nieszczęść, przyrzekam i ślubuję, iż po przywróceniu pokoju dołożę starań ze wszystkimi stanami, ażeby lud mój polski od niesłusznych ucimieżeń i ucisku wyzwolić.

Stanisław Leszczyński (1677—1766), Głos wolny wolność ubezpieczający:

Jeżeli kogo wynosząc, mówimy: pan z panów, słuszniej mówić: pan z chłopów. Mało na tem, że chłopem jak bydłem pracujemy, ale co większa i niechrześcijańska, że często za psa albo za szkapę chłopą sprzedajemy...

Pan Bóg człowiekowi bez różnicy stanu dał wolność, jakim prawem może mu kto Chłopa żadną sprawiedliwostą nie ubezpiecza ani w życiu ani w jego dobytku...

Pan często z pasji albo zawziętości bez sądu może kazać stracić poddanego, czego najodurniejszy monarcha nie czyni.

Jestże to po chrześcijańsku, ażeby mój bliźni był moim niewolnikiem i ta dusza, żeby była u mnie w pogardzie, którą Bóg

tak drogo szacował i która mu jest tak miła, jak największego monarchy...

Nadaremnie będą wszystkie nasze trudy i starania przez jak najlepsze postanowienia ku umocnieniu rządu Rzeczypospolitej, który będzie zawsze podobny do owej statuy Nabuchodonozora, zrobionej z najdroższych kruszców, ale na słabych nogach, bo glinianych.

Adam Naruszewicz (1733—1796). Szlachetność:

A ty ubogi kmiotku, za snopek skradziony
Będiesz kruk opasany żarłoczne wrony.
Bo w Polsce złota wolność pewnych regu

Chłopa na pal, panu nic, szlachcica na

Ignacy Krasicki (1755—1801), Pan nie wart sługi:

...Noc na kartach strawił.

Wszystko źle, zgrał się wczoraj, klejnoty

Przyszli kupiec z rejestrem, termin przy-

Trzeba oddać a nie masz. Sto plag dla Mar-

Placze w kącie. Wieg krągnbrny!! Po plagach

Wali drugie w dwójnasób, za co nie dzie-

...żesmy wszyscy synowie Adama.

Ale my od Jafeta a chłopi od Chama.

Więc nam bić, a nie cierpieć, nam drzeć a

Nie powinien pan swoich przywilejów tracić,

A zwłaszcza kiedy dawne i zysk z nich go-

List do St. Augusta:

Wyjeżdżając na wieś, ścisłone miałem boleścią serce, patrząc na domy, a raczej na szalazę mizernych mieszkańców. Słomą kryte były, a to pokrycie takowe, iż ani od śniegu w zimie, ani od deszczu w lecie bro-
nić mogło, kominy nie wznosiły się nad dach; z pocerniałej ku brzegom stronie znać było, iż dym ustawicznie nieszczęśliwych mieszkańców zasępiał i dusił. Dziećka wynędniałe, wpólnie tulili się koło domu, ze wszech stron wklęsłego w ziemię błotnista...

Ks. Stanisław Staszyc (1755—1826), Przestrogi dla Polski:

Zwyczaj zniszczył w waszym sercu wro-
dzoną ozłość, z wychowaniem rośnięcie ty-
rani. Wydarłście człowiekowi ziemię i pra-
wo. A nie tylko nie czując, ale też nie my-
śląc, z tej krzywdy bliźniego nawet sami pożytkować nie umiecie...

Kiedy sobie pomyślę, że Polakiem, wstyd mi dalek mówić. Kiedy sobie przypomnę, że człowiekiem, porwam mnie roz-
pacz i zgroza. W posrodku chrześcijan taki okrucieństwo! Wy, którzy powiadacie, iż wierzyście, że jest Bóg, których przekonywa dzień każdy, że przyjdzie śmierć, których religia najuroczyściej zapewnia, iż staniecie na sądzie Boga, wy poważacie się do tego stopnia wywodzić nad bliźnim waszym bar-
barzyństwo...

Ks. Hugo Kollataj (1750—1812), List Anonima do St. Małachowskiego:

Rolnik w dobrach szlachestwa stał się rzeczą dziedzicą...

Oddany na dyskreję panu doznawał ta-
kiego losu, na jaki uprzedzenie, edukacja i pasja dziedzica wystawić go mogły. Za-
przedany nareszcie w ręce Żyda, zatopiony w pijanistwie, nieoświecony, gnuśnieje w ne-
dzy, tyle tylko szczęśliwy, ile dziedzić jego jest doły. Jeżeli po czem, to najbardziej po stanie naszego poddaństwa miarkować możemy, co to jest wolność polska; bo któż mnie przekona, żeby człowiek znający i ko-
chający jej prerogatywy, zyskującą się na gwałt i bezprawie, z zimną inderferencją spo-
glądał na niewolę równego sobie co do nar-
tury człowieka...

Prawo, najłitościwszy nieba darze, jeżeli kiedykolwiek przemieszkujące twoje między ludźmi gruntuwało szczęście narodów, zstąpił do sere wolnych. Polaków, oświeć ich rozum i natchnij spanialem do wolności przywiązaniem. Niech ta ziemia, którą Opatrzna ręka wolności ludzkiej przeznaczyła, nie cierpi więcej w łonie swoim najłichszego niewolnika! Niech najbogatszy i okryty wielkością obywatel odda hołd po-
wszechny Opatrzności, szanując ludzkostwo w najuboższym rolniku! Niech się aby raz na tem pozna, że cała jego okazałość ubożego ludu świetnieje potem!

Oddajmy to, cośmy mu świętokradzko wy-
darli, w czememy prawo boskie i ludzkie zgwałcili, to jest oddajmy mu wolność i je-
go osoby i jego ręk!

zestawił M. Lipiński

JAN BOLESŁAW OZÓG

MUZEUM PARAFIALNE*)



Jan Bolesław Ozóg

W niebie świętym

W niebie świętym z padolów
z pantofli lilie rosna,
pała się zimą i wiosną
kadzidła czterdziestu aniołów.

święci, pięknie tam w raj —
lubię lilie i mirrę;
wezmę fajkę i lire,
bierzcie do swego mię kraju.

Wsadźcie na czwórkę woł
pisma, człowieka i kości,
rzućcie wszystkie sprośności
w kadzidła czterdziestu kościołów.

To relikwie! Nadzieję
buty. Już leś ubrałem,
umylem, uczesałem
i śmieję się, płacząc i śmiejąc.

Zdechła kobyła

Jechał chłop ze młyna
siwy nos od wina,
a za starą dziecią
dwa antały leża.

Na niebie strzoga,
hop, siup!
a koń jak stonoga.

Anioł psi i muszy
widzi: szkapsko ślepe
ciągnie je za uszy,
podtyka mu rzepe.

Strzoga na niebie
hop, siup,
o wodzie i chlebie!

Stękla jak fanfara
kobyła — ściwiara,
zagrały popręgi
ze starej siermięgi.

Na niebie strzoga,
hop, siup,
wio do Pana Boga!...

Aleć popod górą,
pod zieloną łąką
przywaliło furą
lichu chłopca z mąką.

Na niebie strzoga
a tu
jaka licha droga!

(Modrzewiowy świątku
starego obrządku
w ogródku z trześniami
i niezabudkami,

wielce Konstantemu
po-wiem
panu Galczyńskiemu).

Po co takie dyle
zrobili dyszlami!
wylaż bebechami,
dyszel, patrz kobyłę

Na niebie strzoga
a tu
taka taka śmieszno droga!

Śmierć nad wozem sapie,
a chłop śpi i chrapie,
wreszcie go ukluła
mucha w nos jak muła.

Strzoga na niebie,
hej, hej,
o wodzie i chlebie.

Wstał więc, patrzy, słucha
i za leś się łapie:
dyszel w boku brzucha —
coś się stało szkapie!

hop, siup!
W krwi koloru bordo
klacz mu kiwa mordą!

Wbiła się głęboko
żerdka w serca rzepe,
otwarło się oko,
które było ślepe.

Kobyło, kobyło;
o joj,
co ci się trafiło!

Popatrzy chłopina —
zebra jak drabina.
Pociągnął z antały:
— ciągnąć mi nie chciała!

Na niebie strzoga,
a tu
dyszel nie ostroga.

— Dyszel nie ostroga,
nie na łące góra,
lecz i moja noga
nie zając, psiajura!

A nóż nie w popiele,
hop, siup,
zrobiją ci wesele!

Wydlubię to ślepie,
w kościele przylepię,
z kich zrobię piekarnię
a ze lba latarnię.

Na niebie strzoga,
hop, siup,
majcher nie ostroga.

**

Wkrótce popod górą
anioł w karmazynie
złapał duszę burą,
obabrana w glinie.

Krew, nie krew i woda,
uciekała polem,
kiwała się broda
z poderżniętym wolem.

Czworonożna, chuda
wlokła się maruda,
cała osmagana
kańczugami pana.

Zapachniały ziola
wódka, koniczyzna,
a białe ręce anioła
czerwoną koniną.

*) Wybór z przygotowanego do druku tomu
fraszek i grótesek.

Ucieczka do Egiptu

Święta Maryjka, matka Jezusa
siedzi na osie i jedzie klusa.

Za nią piechotką — poskrobek, kpina,
święty Józefek, niższy od syna

w drabinie stanu o kilka szczebli,
niesie na plecach pięć pili i hebli

Droga daleka, a tam została
szopa i pilka wielka i mała..

Może go wspomni teraz z przedmieścia
drewniana ława jakaś niewieścia?...

Drobna deszczulka z czerwoną żyłką,
strugana dłutkiem i rżnięta pilką?

Za każdą pilką i nogą stolka,
za palcem idzie prostego kolka...

staje na drodze, i teraz widzi:
dobrzy ludziska byli ci żydzi...

Stoły, trumienki, koła u karet
zostały sobie w cichym Nazaret...

a tu kamienie i mgły strzępione,
a tu granica — pole zielone!

Leci miesięczek i osioł leci,
srebrna mu gwiazda na brodzie świeci,

a siwy dziadek pod chudym niebem
knyli piechotką jak za pogrzebem:

Idzie za każdą klepką szaflika,
sam taki krzywy jak motyka,

K a r a

W sakwie ze sianem narodzony wśród starych brzoń w stodole
w nikłowych nutach okularów, błogosławił to pole,
bydło, świnię i końskie pęta, zgubione w dali żywej,
wszystek kolor święconych jabłek młodej, świętej ojczyzny.
Miał stary brewiarz, mszał i pismo i listy od przyjaciół,
ale najmilszą radość: ziemię — rzepe z zieloną nacią.
Miał ci i sutanną i laskę, guzată, pełną sęków;
cudze dzieci, gdy szedł ulicą, całowały go w rękę.
Lecz za bardzo wieczność straszyla w obłoku głuchomłotem:
Porzucił biret i kropidło i powrócił na ziemię.
I odtąd zbierał stare gwoździe, fajka i szyski leśne
i odnajdywał w woni gnoju zbuntowany krzyk pieśni.
Ujrzy zajęczką łapkę jakąś od prochu na harmonii,
i już wiersz gra mu na klawiszach z kości jak zęby koni.
Zawsze już swoje chłopskie zwroty wycierpiane na świecie
będzie za karę, apóstata, musiał nosić w kajecie.

ZOFIA SOLARZOWA

Uniwersytet Ludowy w Brusie

O życiu i działaniu Uniwersytetów Ludowych wiele się dziś mówi i pisze w związku z organizowaniem kilkudziesięciu tych placówek w Polsce.

Zdania w tej sprawie są podzielone: Jedni widzą w Uniwersytetach Ludowych siłę tworzącą czynne, szczere i pogłębione życie demokracji wspartej trwałymi wartościami wsi, inni biją na alarm ostrzegając przeciwko idealistycznym i wstecznym wpływom tego wychowawczego działania.

Będę mówiła o naszym Uniwersytecie Ludowym, w Brusie koło Łodzi. Wychodzi z tradycji Solarzowego Uniwersytetu Ludowego w Szycach i w Gaci. Niemniej w nowych warunkach i w wyniku własnych przemysłów nakreślił sobie plan własny. Trwając w niezmiennym, zasadniczym kierunku, szczerą wolą włączamy się w życie dzisiejsze.

Przyszliśmy w sąsiedztwo robotniczej Łodzi. Pozbawiając się chłopskości środowiska i bezpośredniego wpływu przyrody — za tę drogą cenę zdobywamy możliwość wymanowania wartości z robotniczą gromadą. Dro-

ga nasza jest ciężka, bo ciężkie podjęliśmy zadania.

Oto, chcemy w czasie wielkich politycznych przeobrażeń i zmagania wypracować w sobie te konkretne wartości, które warunkują rzetelność, wiarę i rozumne działanie człowieka bezspornie pożądanego w demokracji. Chcemy zdobyć zaufanie tych walczących z sobą ludzi, którzy, niezgodni w sposobach, ku jednemu idą celowi.

Chcemy wszystko co rzetelnie ludzkie w ruchu chłopskim zespolać z rzetelną treścią ruchu robotniczego i pracowników umysłowych.

Od trzech miesięcy pracujemy w Brusie.

W skupieniu, w wysokim napięciu myśli i uczuć, wspólnie szukamy dla siebie miejsca na ziemi, wiążąc logicznie i serdecznie wszystko to co było w ruchu ludowym z najmielszą myślą idącą.

Wartość jednostki i prawo do szczęścia człowieka uzależniamy od przemian społecznych i społecznego działania jednostki.

Na wykładach, przez historię rozwoju życia, przez poznanie praw i sił przyrody,

przez dzieje świata, Europy i Polski, przez dzieje rozwoju życia społecznego i gospodarczego, przez uświadomienie sobie treści duchowych w powiązaniu z kształtowaniem warunków życia, idziemy ku syntezie: Synteza, to wyzwoleny z egoizmu, głęboko dobry, śmiały i samodzielnie myślący, z środowiskiem związany, społeczny i czynny człowiek.

W codziennym życiu Uniwersytetu, jego naprawdę społecznej rodziny, urzeczywistniają się przemysłane prawdy i kształtują podstawowe treści społeczne.

Wybiegamy z Brusu chętnie ku ludziom. Idziemy do Kół wiciowych, które są naszą najbliższą rodziną, do stronnictw chłopskich, do organizacji robotniczych, do środowisk nauki i sztuki.

Nie ma organizacji czy stronnictwa, nie ma zjazdu czy narady ku którym wahałbyśmy się pójść. Mimo to nie jesteśmy związani organizacyjnie z żadnym stronnictwem ani z organizacją młodzieżową, nawet ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej R.P. Ruch chłopski i ruch ludowy w najszerszym objęciu jest naszym środowiskiem ideowym.

Uniarkowanym ugrupowaniom ruchu, chcemy dać zdolność dalekiego patrzenia, odwagę nowości i przemian.

Najradzykalniejszym zaś — siłę chłopskiej tradycji, którą cechuje realność serca, cierpliwość dojrzewania myśli i instynkt działania.

Ku nauce i technice idziemy z ciekawością, uporem i z zadaniem społecznej, harmonijnej celowości.

Ku narodowi i narodom idziemy z prawem siły i urody chłopskiej, z dumą własnego dorobku i szacunkiem dla nie naszych zdobyczy.

Żyjemy prosto.

Przychodźcie do nas wszyscy. Chcemy zaufanie wasze wypracować sobie rzetelnie. Rzetelność waszego sądu, przyjaźń waszą odważną, będziemy zdobywać po chłopsku: serdecznie, mocno i cierpliwie.

W ciężkich warunkach materialnych, w trudzie pracowitego dnia, w trudzie przełamywania uprzedzeń, wyciągamy ręce przyjazne ku wielkiemu robotniczemu miastu, ku Łodzi, z ufnością ludzi prostych.

Pomóżcie nam, miastowi ludzi, przyjść ku sobie. Wyjdźcie nam na przeciw.

Życie wasze jest ciekawe, trudne i piękne, jak życie nasze, spróbujmy bogacić je razem.

Wiążąc myśli nasze z waszymi chcemy czuć ciepło waszej krwi.

Idziemy ku wam cicho i prosto, idziemy bez haseł i zawołania, tak, jak w rodzinie narodów i ludów wchodzi chłop.

JAN RYBKOWSKI

Zagłada miasta Drezna^{*)}

Drezno (niem. Dresden) stolica republiki Saksońskiej od roku 1918. Miasto podzielone przez Elbę na: Stare i Nowe miasto. 588 tysięcy mieszkańców. Ośrodek artystyczny Niemiec. Zwinger, muzeum, galeria obrazów, pałac Brühla z tarasami, Albertinum, (zbiory i archiwa państwowe), politechnika, Akademia muzyczna i Sztuk Pięknych, wyroby chemiczne i fajansowe, maszyny do szycia, aparaty fotograficzne, czekolada, wyroby tytuńowe, przystań rzeczna. Niedługo sławna osada rybacka Drarzdżany, skolonizowana w roku 1206 przez Niemców, od 1485 rezydencja elektorów saskich z linii Alberytyńskiej Wettynów, rozwój swój zawdzięcza Drezno królom polskim: Augustowi drugiemu i Augustowi trzeciemu. — Tyle mówi o mieście tym każda encyklopedia, każdy popularny przewodnik po Niemczech.

Dla nas, dla Polaków — nazwa Drezno, nazwa Saksonia, jest czymś bliskim i czymś dalekim. Czymś swoim, polskim i czymś wrogiem, niemieckim zarazem. Kraj ten i jego stolica wplecione są tak ściśle w naszą tragiczną historię, że krytyczne, obiektywne spojrzenie jest prawie niemożliwe, Saksonia — to Sasi, to nasza potęga, huczne elekcje, barwne kontusze, złotolite pasy, „Za króla Sasa, jedź, pij i popuszczaj pasa”. Sasi — to Warszawa, ogród, plac Saski, pierwszy teatr, polski, Sasi — to początek tragedii naszej. Jedni szli do Sasa, drudzy szli do lasa i do Sasa szli gorsi. Dużo orsi, ale niestety silniejsi. Leszczyński, człowiek renesansu, prawdziwej kultury zachodniej z pierwszej ręki. Magnat polski, co nie tylko kielichem i żarciem trafić chciał do sumienia swych wyborców, panów braci szlachty. Co nie szablą po łbach gołonych, a piórem uskrzydłonym, nowymi prądami pisał. Pan i magnat, który chciał widzieć, że naród to nie tylko szlachta, że państwo to nie szlacheckie podwórko i ośmieszył się biedak napisać o chłopie, że zagoniony, wygnany, rozbawiony wszelkich praw i własności, co zwierzęcia bezdusznego podobniejszy jest raczej niżli do człowieka. To wystarczyło, ażeby stał się wrogiem „świętych, złotych” praw szlacheckich, burzycielem przez Boga ustanowionego porządku. Spotkał go los, jaki spotykał wielu innych najlepszych synów Polski. Poszedł na obczyznę, ażeby tam pisać swe „traktata polityczne”. Jego „głos wolny, wolność ubezpieczający”, został na zawsze głosem wołającego na puszczy. Trudno w narodzie naszym być prorokiem. Został Sas, mocny, jak — August Mocny. Nie od mocy ducha i umysłu dostał ten przydomek. Łamał podkopy, gwałcił żelazne, wypijał konwie starki, podnosił podobno konia z rzędem. Dziś z tymi „warunkami” z pewnością mógłby zostać znakomitym artystą cyrkowym, lub... SS-manem. Niestety był polskim królem. Panowie magnaci, bracia szlachta znaleźli swojego człowieka. Państwo polskie znalazło swojego grabarza. Sasi byli nie tylko polskimi królami, byli także Niemcami, a ręk ich nie cechowała tylko moc, ale i długość... Głęboko umieli sięgnąć do kasy państwowej, do dochodów, z królewskiej i kiedy budowali jeden pałac w Warszawie, jednocześnie co najmniej trzy w Dreźnie. Umiejętność się swymi ludźmi. Doskonale ministrem był pan Brühl. W każdym razie doskonałym dla Saksonii. Chociaż mianował się ministrem polskim. Tak czy inaczej August Mocny za małe ustępstwa dla Polski (przejście na katolicyzm), za wielkie ustępstwa dla szlachty — włożył na swą wielką i twardą głowę małego, biednego książątka niemieckiego potężnie bogatą i ciężką koronę Rzeczypospolitej, Litwy i Korony. Wielki dzień dla niego. Wielkie wydarzenie historyczne dla Saksonii. Początek końca dla Rzeczypospolitej.

August Mocny i syn jego wybudowali Drezno. Z małej prowincjonalnej miasteczki, ścisłej fortyfikacji i wałami obronnymi, które bronić jej miały przed napadami drapieżnych, wiecznie głodnych współbraci, powstała wielka, reprezentacyjna stolica. Króla polskiego stać było na to, na co nie mógł sobie pozwolić książę niemiecki. Wyszedł z ciasných murów, rozłożył parki i ogrody, a wśród nich wyrastały rozkoszne pałace, rezydencje, zameczki myśliwskie. Splendor dworu, blask korony i złoże ściągały z całej Europy bractwo artystyczne i wszystkich tych, co pod skrzydłami potężnych szukają schronienia, którym okrucy z pańskiego stołu dają możność życia i rozwoju.

Powstało piękne Drezno. Jego pałace, galeie napełniały się dziełami sztuki. Jego sława rosła po świecie, jako najpiękniejszej, najbogatszej stolicy. Upadała, ubożała Polska. Sasi odeszli od nas. Polska przestała istnieć. Drezno zostało. Mimo krwawej, mimo grabieży, jakich winni byli u nas Sasi w gołonych łbach panów braci, okres ten został jako wspomnienie „dobrych, starych czasów”. Pogląd ten i opinię przejęliśmy wszyscy z czasem. Tak jak łatwo przejęliśmy cały sze-

reg innych, tym podobnych, starych, pięknych, kulturowych tradycji. W historii raz związane węzły nie rozwiązują się łatwo. Drezno i Saksonia zostały zawsze dla Polaków czymś z nas. Tam na wygnaniu Mickiewicz pisał „Dziady”. Cały szereg polskich emigrantów ciągnął do Saksonii, aby znaleźć przytułek i u Sasów nie zanikło wtedy jeszcze wspomnienie prawdziwych, złotych czasów Unii Personalnej z Polską.

Nigdy Niemcy w swym odwiecznym śnie o kotłecie wieprzowym nie zapomnieli o Polsce. Tej niegdyś wielkiej, sławnej, miodem i mlekiem płynącej, która za Sasów była niemiecką, do której gospodarze wpuszcili Sasów, pozwolili im jeść polski chleb, pić polski miód, na tej samej ziemi, gdzie trzy czwarte ludności głodowało, chodzilo nago i boso.

Przyszła nowa Prometeusz niemiecki, ten najlepszy znawca duszy krzyżackiej, i sen o kotłecie podniósł do godności ewangelii narodowej. Kiedy wsadził im w łapy nóż zbójce, nie dziwnego, że pierwszym celem byliśmy my, radzeni przez krew z krwi i kość z kości dawnych „panów braci”, załudzeni jak dawniej przez wynędzniałych, zgłodniałych, ale doskonałych do pracy niewolników.

Przyszła wrzesień. Przyszło to, co nazywamy katastrofą wrzesniową. Znowu tysiące i dziesiątki tysięcy nas — Polaków, stłoczonych w towarowych zamkniętych wagonach pojechało na zachód. Tysiące panów baronów, bogatych „bauerów” na rynkach pracy wybierało w niezliczonej masie bydła roboczego. Klepano po mocnych ramionach, zagladano w zęby. Fabrykanci odbierali towar wielkimi partiami. Grodzili zagrody, budowali baraki i interes szedł. Szedł świetnie. W okresie tym wraz z flegmą innych niewolników wyładowałem w Dreźnie.

Po przyjeździe do Reichu każdy cudzoziemiec zmuszony był podpisać deklarację, z której dowiadywał się, że z braku pracy i chleba w ojczyźnie przyjechał tu z własnej i nieprzymuszonej woli, aby zarobić na siebie i rodzinie w kraju. Jeżeli był Polakiem, stwierdzał dodatkowo, że ołbrzymi procent jego zarobków ma być potrącony na odbudowę Polski, która Polacy tak lekkomyślnie we wrześniu 1939 roku zniszczyli. Za swą pracę dostawał pieniądze, mieszkanie i jedzenie. Przewiezione baraki, naprędce sklecone, stare nie nadające się już do użytku hale fabryczne, stajnie, obory, zastawione pod sufit piętrowymi pryzmami, były mieszkaniem. Żupa z bruku, szpinaku lub pokrzywy — podstawa pożywienia. Pieniądze — śmieszne sumy za ciężką pracę — ironicznym symbolem zapłaty; zresztą legalnie nic nie można było za nie kupić.

Drezno, położone w samym centrum wielkiej Rzeszy, oddalone o tysiące kilometrów od walczących frontów, z dala od głównych dróg dowozowych, wiodło życie, jeżeli nie bez troski, to w każdym razie spokojne. W latach 40, 41, 42 — do 43 alarmy lotnicze były rzadkością, zdarzały się raz na kilka miesięcy, a i to kończyły się zwykle tylko rykiem syren. W tym całym okresie artyleria przeciwlotnicza strzelała najwyżej dwa razy, a daleko w krąg nie padła żadna bomba.

Miasto pełne było łączących stadami urlopowiczów, rekonwalescentów i tych, których dopiero przygotowywano na mięso — co chodzili butni i na zadartych głowach dumnie nosili czapki z symbolem niemieckiej kultury i humanizmu, trupie czaszki i starogermańskie runy zwycięstwa SS. Wojna była daleka, zwycięska, dobra.

Na ulicach germańskim rytmem marsza waliło w bębny HJ. Grzmiały fanfary, wiały flagi zwycięstwa. W kinach na dodatkach tygodniowych, żołnierz niemiecki szedł ciągle naprzód, mijał spalone miasta, rozbite czołgi, trupy nieprzyjaciela, długie kolumny jeńców i ciągle szedł — vorwärts.

Fanfarami głośniki ogłaszały nadzwyczajne dodatki: Zajęto nowe miasta, tysiące ton zatopiono — i dzwony i „Wir fahren gegen England”!

W zacisznych gabinetach partyjnych, gdy odprawiano interesantów napełniając im głowy i serca wiarą w boskość führera i bliskość zwycięstwa, szklanka dobrego, francuskiego koniaku i wonny dym macedońskiego cygara nastrajały marzycielsko. Brązowi panowie czuli się już udelelnymi książętami na swych przyszłych dobrach w Ukrainie, Polsce, Białorusi. Płynęły zwierzenia ciche i poufne o wspianych obrazach, dywanach, meblach, które każdy po tichutku już sobie gromadził, bo przecież na tym wschodzie trzeba jakoś kulturalnie urządzić swe rezydencje.

Po szwach tych wymarzonych pałaców zgrzytnęło jak nóż ostre słowo: Stalingrad.

Zamieciły się marzenia. Koło fortuny zmieniło swój bieg — Niemcy jednak długo nie mogli i nie chcieli uświadomić sobie tego faktu. Komunikaty wrzeszczały jak dawniej, może jeszcze głośnie, o bohaterstwie, duchu inicjatywy, wyższości sztabów niemieckich, elastycznych frontach, zacieklej obronie, ale

coraz groźniejszą była wymowa mapy, coraz częściej padały nazwy miejscowości, daleko za linią barwnych szpilek, które przed miesiącem oznaczały jeszcze front. Karty geograficzne stanowczo przestały być dobrym środkiem propagandy. Likwidowano je pospiesznie, a ich miejsce zajmowały malowidła wodza z pokrzepiającymi cytatami jego złotych myśli.

To, co działo się na frontach, było dla Niemców przykre, ale jednak ciągle jeszcze bardzo odległe w terenie. Gorzej rzecz miała się z frontem, który wisiał jak ciężka chmura nad głową. Tu nie pomagała kojąco spreparowana maść komunikatów, tu nie można było bujać, ani skrywać. Fantastyczne nawet cyfry podawanych strat nieprzyjacielskich nie zmniejszały ani grozy, ani liczby wrogich eskadr, które coraz częściej, coraz dalej w głąb kraju, w noc i dzień, o każdej porze roku, w piekielnej muzyce motorów, płynęły przez niemieckie niebo, znacząc za sobą mleczne drogi, które godzinami utrzymując się w powietrzu nie dawały zapomnieć o niebezpieczeństwie, mogącym przyjść w każdej chwili.

W Dreźnie było ciągle cicho, ale przez tylne drzwi pocztą pantoflową zaczęły dochodzić wieści o katastrofach. Rostok był pierwszym miastem, które doznało dnużgoczącego nalotu alianatów. Potem przestał istnieć Hamburg i potoczyło się... Dzień za dniem dochodziły wieści o wciąż nowych, celnie wymierzonych ciosach.

Wyglądano z upragnieniem jesieni i zimy z długimi, deszczowymi nocami.

Przyszła jesień, a z nią jedno z największych rozczarowań. Ciemność i chmury stały się sprzymierzeńcami wroga. Anglicy przez wynalazek nowego aparatu nawigacyjnego, zwanego przez Niemców „amsterdamskim”, mogli latać i trafiać w cel o każdej pogodzie i o każdej porze dnia.

W okresie tym zaczęła się pierwsza wielka seria alarmów nocnych w Dreźnie. Alianci zaczęli ofensywę powietrzną na Berlin. Co noc huczały motory eskadr, ciągnących na północ.

Śmierć krążyła coraz bliżej i coraz okropniej. Pewnego poranku zimowego spalony i zniszczony został Lipsk — detonacje słychać było w Dreźnie. Z dnia na dzień oczekiwano katastrofy. Nie przychodziła. Drezno oszczędzano.

Minęła zima, przyszło ostatnie lato wojenne. Fronty jak kleszcze coraz bliżej cisnęły na granicę Niemiec. Nieprzeliczone eskadry coraz częściej i coraz bezkarniej latały wzdłuż i wszerz rozbijając wszystko, co jeszcze stało.

Przyszła dwudziesty lipiec 44 roku i na chwilę zdało nam się wszystkim, że nareszcie koniec. Na drugi dzień mój przyjaciel Johan zamiast powitania powiedział: „Deses Schwen hat wieder Glück gehabt” (ta świnią miała znowu szczęście).

Ta świnią miała szczęście, Drezno go nie miało. Śmierć jednego człowieka dwudziestego lipca mogła ocalić miasto. Miałdzące koło historii musiało przetoczyć się do końca. Hitler nie zginął od zamachu. — Drezno zginęło od bomb i ognia. Był moment, kiedy Drezno zostało jedynym niemieckim miastem nie znajdującym się pod bombardowaniem. Fakt ten sprawił, że odwrotnie do innych miast zamiast wyłudniać się z dnia na dzień powiększało ilość swych mieszkańców. Alarmy lotnicze były jednak co dzień, a że trwały niejednokrotnie godzinami, stanowiły poważną przeszkodę w pracy. Wprowadzono nowy system alarmów: najpierw ostrzeżenie, a gdy nieprzyjacielskie eskadry przelatywały gdzieś daleko na skraj horyzontu, polyskując srebrzyście w słońcu, jak stada białych gołębi.

Niósł się od nich niski, przejmujący dźwięk huczających trzmieli. Niekiedy przeleciał od tyłu od eskadry czteromotorowiec, ciągnąc za sobą długą, mleczną drogę, częściej gdzieś bardzo wysoko, widoczny tylko jak króciutki, jasny, szybko posuwający się pasemka w kształcie klingi szyletów — szybowały myśliwce. Ciche, wydłubione alarmem ulice drgały coraz częściej echem dalekich eksplozji. Jasnym jest, że każde z miast niemieckich, a tak samo i Drezno, posiadało silną obronę artylerii przeciwlotniczej; ale czy dlatego, że uierzono na dobre zamiary alianatów w stosunku do tego miasta, czy może dlatego, że armaty zaczęły być bardziej potrzebne gdzieś indziej, w każdym razie fakt pozostał faktem, że w momencie najbardziej krytycznym zdejmowano jedną baterię po drugiej i kiedy przyszedł pierwszy nalot, miasto było zupełnie bezbronne.

Chrest bojowy otrzymało Drezno dopiero 44 roku w początkach zimy.

W sobotnie popołudnie podczas alarmu, który trwał prawie dwie godziny, i kiedy ludzie, znudzeni długim siedzeniem w schronie, zaczęli się pomału rozlaźić, pewni, że niebezpieczeństwo minęło — nagle na pełnym gazie, niskim lotem, wpadło nad miasto kilka czteromotorowców. Zaleciały z jednej strony, krótki świst — eksplozja, zakręt — nowa porcja, znowu huk, lot po samych dachach, ulice i place wypełnił ryk potężnych motorów, zagłuszając wybuchy ostatniej serii. Całe przedstawienie trwało dwie do trzech minut. Kilkaset ludzi straciło życie, rozbito dużą fabrykę, trafiono w obóz pełen cudzoziemców i jedną ulicę miasta, uszkodzono tory i dworzec przetokowy.

Wydarzenie to w skali ogólnej było jednak tak drobne, że ani Alianci, ani Niemcy nie poświęcili mu najmniejszej uwagi.

W połowie stycznia 45 roku przeżyliśmy drugi nalot: mimo, że groźniejszy od pierwszego, był jednak z kategorii małych i wyrządził nieznaczne szkody; skierowany był na teren mostu kolejowego, tak że ucierpiały tylko dzielnice, położone koło głównego dworca przetokowego.

Piętrzące się teraz z godziny na godzinę wydarzenia przyspyły szybko wrażenia bombardowania.

Czekano na gorsze rzeczy.

Wszystkie tereny polskie zostały oddane. Wrog przyszedł na teren Niemiec. Stracony Górny Śląsk, sforsowana Odra, Wrocław okrążony, zajęta Lignica, już tylko Nissa Łużycka jest większą zaporą między Dreznem a napierającą armią czerwoną. Berlin zagrożony.

Została jedynie wiara w cud, który w ostatniej chwili ma uratować Niemcy od zagłady.

Niemcy i tym razem wierzą, cała masa ludzi wierzy, że cud nastąpi.

Przyszła 9 lutego 45 roku. Drezno zaczęło przygotowywać się do obrony.

W nocy pozabierano z wszystkich domów sprzęt obrony przeciwlotniczej, kilofy i łopaty, aby kopać rowy przeciwczołgowe i okopy.

W dzień z placów i ulic wyjeżdżały autobusy pełne wojska i policji prosto na front, po krótkim czasie wracały, obciążone uciekinierami i ich bagażem. Boczными ulicami cagnały długie karawany chłopskich wozów, naładowanych dobytkiem i dziećmi.

Z dużą satysfakcją czytało się tabliczki na wozach. Wracali niedozłzi kolonisci z Polski, wracali ze zrabowanych Polakom gospodarstw i dziś znaleźli się w takiej samej, a może i gorszej sytuacji, niż ci Polacy, których kiedyś wyrzucono z ich własnych domów, ażeby osiedlić tych własnie, uciekających teraz w poplochu, Niemców.

Szpitala przepełnione były rannymi.

Każdy pociąg idący ze wschodu wyrzucał coraz nowe tłumy uciekinierów.

Miasto, liczące w zwykłym czasie pół miliona, nagle potrojiło liczbę swych mieszkańców. W tym rojowisku gorączkowo przebiegały wieści i pogłoski, nikt nie wiedział, co będzie za godzinę. Wieksość chciała uciekać dalej do Anglików i Amerykanów.

Dziesiątego i jedenastego lutego przygotowanie do obrony widoczne było już w środowisku.

Zaczęto minować mosty.

Dwunastego rozeszła się pogłoska, że Drezno ma być bronione za wszelką cenę, tak jak Wrocław. Drezno ma zmienić się w miasto—fortecę.

Przyszła 13 lutego 45 roku — dzień roboczy, jak każdy inny, ale pełen niesamowitej atmosfery podniecenia, napięcia i niepewności.

Trudno było Dreznończykom pogodzić się z myślą, że miasto znajduje się w bezpośredniej bliskości frontu, że lada chwila może być placem boju.

Wieczorem odwiedziło mnie kilku kolegów, zastanawialiśmy się, co robić w tej sytuacji. Przewidywaliśmy, że w ostatniej chwili może dojść do masakry cudzoziemców, nie można było dać się zamknąć w obozach, a sytuacja wewnątrz miasta coraz groźniejsza, coraz więcej ludzi, mieszkających na mieście koszarowano i wydbastano się z obozu było coraz trudniejsze.

Każda jednak akcja przedwczesna mogła narazić nas na momentalne represje.

Nie powziawszy żadnych postanowień, rozeszli się koledzy do domów.

Zostałem sam. Jeszcze raz z mapą sprawdziłem zebrane wśród dnia wiadomości o sytuacji, gdy nagle pełnym głosem ryknęły syreny alarmowe. Nastrój całego dnia, niebawala dotąd pora alarmu (pół do dziesiątej wieczór), sprawiły, że ryk syren wywarł większe wrażenie, niż zwykle.

(Dalszy ciąg nastąpi)

^{*)} Fragmenty z pamiętnika.

STEFAN KAWYN

Zagadnienia literackie w „Pamiętnikach chłopów”

Nowe walory pisarstwa chłopskiego

Kiedy przed dziesięć laty ukazały się staraniem Instytutu Gospodarstwa Społecznego dwa tomy „Pamiętników Chłopów”, kiedy w nich roztoczył się obraz nieskłamany w niczym tragicznego życia współczesnego chłopca polskiego, groza przeniknęła społeczeństwu. Łamały się serca z bólu i wstydu. Zapadały postanowienia, dokonywały się uroczyste akty ślubowań, że będzie odtąd inaczej, lepiej, sprawiedliwiej. Skarga to była straszna, włos od niej biał. Nie czas wtedy było patrzeć na „Pamiętniki Chłopów”, jako na dokument zmagania autora z twórczym literackim, świadectwo sztuki pisarskiej. Ale już i wtedy jeden z najczynniejszych pisarzy polskich, Maria Dąbrowska dostrzegła w nich wiele walorów artystycznych, zaliczając owe dzieła samorodnego talentu autorskiego do pierwszorzędných zjawisk literatury pamiętnikarskiej. Nie był to zresztą sąd odośobniony: dzieliła go spora grupa wybitnych pisarzy polskich. Wyrazem tej jedynomyślności był fakt, że drugi tom „Pamiętników Chłopów” uzyskał ze strony najpoczytniejszego wówczas czasopisma literackiego nagrodę, jako najlepsza w roku 1936 książka polska.

Dziś, gdy od tego pamiętnego w życiu literackim zdarzenia dzieli nas wprawdzie niewielka stosunkowo ilość lat, ale zato jakościowo ważne doświadczenia i przeżycia, a zwłaszcza przeobrażenia społeczne, gdy żyjemy oczyma oglądamy realizację w sumieniu poczętych ślubów, dziś można chyba bez obawy zarzutu estetyzowania spojrzeć na „Pamiętniki Chłopów” inaczej, ze stanowiska koniecznej dla badacza bezinteresowności.

PROBLEM ARTYZMU W „PAMIĘTNIKACH”

W tym bowiem niewątpliwym dziele sztuki pisarskiej dostrzec można najważniejsze dla artysty problemy, bądź rozwiązania, bądź tylko zaznaczone; w każdym przypadku jednak zagadnienia nie obce autorom pamiętników. Zagadnienia, z którymi świadomie pragną się porać i w swoim świecie wartości rozstrzygnąć. Sam fakt istnienia w ich świadomości tego rodzaju problemów stawia autorów pamiętników chłopskich w rzędzie artystów w zakresie sztuki słowa.

Artysta nie tylko tworzy, ale także zastanawia się nad procesem tworzenia, nad pobudkami, które składają do twórczości, rozważa jej cele, zastanawia się nad tym, co to jest sztuka, pragnie sobie zdać sprawę ze swego stosunku do poprzedników, do wielkiej tradycji artystycznej.

Jeżeli tego rodzaju świadomość sztuki pisarskiej i związanych z nią problemów stwierdzamy u autorów pamiętników chłopskich, to jest to dowód jawny ich rzetelności jako artystów, którzy do pracy pisarskiej przystępują z całą świadomością i z towarzyszącą jej powagą. Autorzy ci pragną zgłębić po swojemu tajemnice sztuki literackiej, po swojemu ją nasświetlić, w swoisty sposób praktykować.

GLÓWNE MOTYWY: PRAWDA I SZCZEROŚĆ.

Rzetelność pisarska i uczciwość wyraża się w „Pamiętnikach Chłopów” bardzo często w postaci dążenia do pisania prawdy i zawsze prawdy. Pamiętnikarze zaznaczają to z całym naciskiem, rozpoczynając lub kończąc swą pracę literacką. „Opis ten, — oświadcza jeden z autorów — nie jest żadną reklamą interesów własnych, ani też sztuką obliczoną na efekt. Lecz jest to najprawdziwsze życie, które nie jest żadnym wyjątkiem, lecz trwałą i ogólną formułą życia biedoty wiejskiej”.

Podkreślają także szczerść wypowiedzi, które odsłaniają cały swój świat duchowy, niejednokrotnie zadziwiający bogactwem, jak też złożonością formy życia wewnętrznego. Obcym i drażniącym jest dla nich usiłowanie pisarza w kierunku upiększania, estetyzującego reformowania rzeczywistości oglądanej. Obowiązuje tu uczciwość obserwacji. Jak u najlepszych mistrzów pióra, tak i wśród pamiętnikarzy chłopskich obserwacja dookołnych faktów życia jest siłą czynną procesu twórczego. Fakty te stanowią materiał, z którego urasta kapitala doświadczenia, mądrość życiowa zdobyta w trudzie walki z przyrodą w trosce o chleb codzienny.

Dać zatem prawdę o życiu chłopskim, podzielić się osiągniętą na drogach tego życia mądrością, — oto pobudki pisania pamiętników.

PISARSTWO JAKO CZYN SPOŁECZNY.

Nie wszystkie przecież. Ważny jest jeszcze bodziec innej natury, głęboko wewnętrznej, psychologicznej. W życiu pełnym trudu, niedoli, w życiu bez widoków na zmianę korzystniejszą, w atmosferze przygnębienia, twórczość pisarska staje się czynnością przynoszącą ulgę przez sam fakt ujęcia zwycięskiego rzeczywistości nieznośnej i uczynienia z niej posłusznego artysty materiału. W ten sposób nie życie panuje nad pisarzem, ale pisarz włada życiem, któremu nadaje w dziele swym ujrzenie w wizji kształty. Oto wymowne świadectwo tego przebiegu: „Sterany, zwichrzony tak długą męczarnią mój umysł, — powiada jeden z pamiętnikarzy, — szukał czegoś, co dałoby mu trochę choć rozkośszy i szczęścia. Nie szukałem niczego na zewnątrz, gdyż ludzie przestali mnie interesować. Wszedłem w siebie szukając czegoś twórczego, czym żyjąc, mógłbym żyć. I... znalazłem! Pisać, pisać, ożwało się coś we mnie! Przelewać na papier to co myślę, czym żyłem i żyję. I rzeczywiście zacząłem pisać, wierszem i prozą, racząc się szczęściem, jakie mi to dawało. Nie chodziło mi o sztukę, ani o sławę. Pisałem, bom znajdował w tym lekarstwo na moje stargane nerwy”.

Autorzy „Pamiętników chłopskich” nie myślą jednak wszyscy wyłącznie o sobie. Nie idzie im jedynie o to, by sobie jeno przynieść ulgę w trudach i troskach życia. Cel ich twórczości obejmuje również bliźnich. Przez ukazanie całej prawdy o życiu chłopskim pragną zwrócić uwagę, wstrząsnąć sumieniem tych, którzy zdala stojąc

od chłopca, nie wiedzą, czy wiedzieć nie chcą, jak tragiczne jest jego bytowanie, ile konfliktów, sięgających w głąb jego duszy powoduje nędza materialna, matka klęski moralnej. Otwiera się więc perspektywa społeczna twórczości pisarskiej: czynem społecznym wydaje się dzieło literackie poczęte z troski o dobro bliźniego, zwłaszcza o dobro stanu chłopskiego. Na tle tej solidarności klasowej, z której silnym poczuciem spotykamy się w „Pamiętnikach Chłopów”, ciekawie zarysowuje się ich stosunek do polskiej spuścizny literackiej. Znajdą ją autorzy chłopcy w jej najwybitniejszych przejawach. Czytali wielkich mistrzów w zakresie sztuki słowa; mniej na ogół poezji, więcej prozy artystycznej. Mickiewicza poznawali jedynie z obowiązku narodowego. Zachwycali się zato „Trylogią” Sienkiewiczowską. Żywią szczerą, niewymuszoną kultą jej twórcy. Piastują podziw dla jego sztuki. Czują wobec niego wdzięczność i miłość. Książka — dzieło artysty — stanowi przedmiot czci chłopca, jak zwierza się jeden z pamiętnikarzy: „powoli książki weszły do mojego codziennego życia jak chleb. Żyć bez nich nie mogłem”.

NOWA IDEOLOGIA CHŁOPSKIEGO PISARSTWA.

Umie przecież chłop spojrzeć również krytycznie na tradycję literacką polską: widzi w niej znaczną przewagę elementu szlacheckiego, zarówno w gronie autorów, jak też w tematyce dzieł sztuki. Zjawisko to zarysowuje się mu tym ostrzej, gdy ma

do rozporządzenia materiał porównawczy zagraniczny, gdy czasu swego wychodźstwa zetknął się z literaturą obcą, przeniknął, bardziej niż swojską — ideą postępową i demokratyczną. Z takiego pouczającego zestawienia powstaje w pisarzu chłopskim myśl, by przeciwstawić się literaturze szlacheckiej i jej tendencji lekceważenia chłopca: „...a ja wam to chcę skreślić parę słów z twardego życia chłopca, oraz robotnika polskiego i wernego bardzo żołnierza swej ojczyzny Rzeczypospolitej Polskiej i człowieka, demokratycznych pojęć. Nie będę wam pisał jak historyk lub poeta, jakiś powieściopisarz, wielki uczonec, ponieważ nim nie jestem, więc niech was to nie dziwi lub obraża, że zaczęłam tu pisać czystą chłopską taką twardą, robotniczą prozą; jak umiem mówić, takim samym akcentem pisał wam będę...”

Świadomy jest więc chłop — pisarz wyższości swego stylu zrodzonego wśród znoju pracy przy pługu; wypowiada z pewnością ci zwycięstwa walki sztuce układania pięknych zdań, wśród których częstokroć gnie prawda. Sztuce werbalnej przeciwstawia sztuce brzemiennej doświadczeniem trudnego, bohaterskiego życia chłopskiego. Obcy wszelkiej interesowności, nie myśli o nagrodzie, w imię jedynie prawdy podejmuje trud pisarski bez względu na przeszkody. Jak ongi „rękami czarnymi od pługa” dobywał armaty pod Stoczkiem, by dać świadectwo miłości ojczyzny, — tak dziś, by powiedzieć całą, niesfałszowaną szlacheckim narowem prawdę o polskim chłopcu, ręką stwardniałą od pracy chwycił za pióro.

Głosy czytelników

O Jantku z Bugaja

Franciszek Kuś, rówieśnik Jantka z Bugaja, próbował swoich sił jako poeta ludowy jeszcze w czasopiśmie „Pszczółka”. Poświęcając się następnie pracy nauczycielskiej porzucił twórczość literacką, nie tracąc jednak nigdy kontaktu z przedstawicielami ówczesnej literatury ludowej. Udało mu się zgromadzić sporo cennego materiału w formie rękopisów i korespondencji. Ze wspomnień o mistycznych i fragmentów listów Jantka z Bugaja powstał niniejszy szkic. Drukujemy go ze względu na cenny materiał biograficzny oraz jako bardzo charakterystyczny wypowiedź ludowego pisarza i działacza o innym pisarzu i działaczu z tego samego terenu. To wspomnienie o przyjaciela, napisane spokojnie, rzeczowo, bez cienia patosu, bez jakichkolwiek śladów wspominkowego rozkładu, jest, zasługuje również na uwagę jako przykładowy fragment autentycznej prozy chłopskiej.

Pracując przez lat 40 w powiecie wadowickim i czytając pisma ludowe, miałem sposobność poznać bliżej życie i twórczość literacką Jantka z Bugaja. Właściwie jego nazwisko brzmiało Antoni Kucharczyk. Urodził się on w roku 1874 we wsi Benczynie, przysiółku Bugaj, stąd jego literacki pseudonim, Jantek z Bugaja. Jego wieś rodzinna leży w powiecie wadowickim, a należy do parafii w Pobiedrze.

Ponieważ w jego rodzinnej wsi szkoły nie było, rodzice posyłał go do Pobiedrza. Uczył go nauczyciele: najpierw Stefan Zaleski, a po jego przeniesieniu Władysław Małyśiak.

Julian Przyboś laureatem

Pierwszą po wojnie nagrodę literacką miasta Krakowa otrzymał znany poeta, syn chłopski, Julian Przyboś za wydany w roku ubiegłym tom wierszy „Miejsce na ziemi”.

Przyboś reprezentuje w poezji naszej kierunek awangardowy, jest on najwybitniejszym u nas przedstawicielem literackiego nowatorstwa, wytrwałym poszukiwaczem nowych form wypowiedzi poetyckiej. Niepodobna już dzisiaj, jeżeli chce się zostać poetą, wyminąć skromny ilościowo, ale bogaty w treść i zmuszający do głębokiego zastanowienia się nad sensem własnej pracy pisarskiej dorobek literacki Przybośa.

Działalność literacką zaczynał Przyboś w założonej przez znanego poełę i teoretyka literatury Tadeusza Peipera „Zwrotnicy”, która była organem najbardziej radykalnych nowatorów poetyckich. „Zwrotnica” zwalczała gorliwie zarówno za nowatorstwo literackie, jak i za swój postępowy program społeczny, upadła wkrótce, ale wpływ jej na życie umysłowe i roz-

woj literatury okazał się nader doniosły. W okresie wychodzenia „Zwrotnicy” działał Przyboś nie tylko jako poeta, ale również jako teoretyk grupy i cięty polemista, atakujący odważnie najbardziej uznane wielkości naszej literatury.

Z drogi, którą wyliczył sobie jako poetycki debiutant w „Zwrotnicy” nie zszedł do dziś, realizując wytrwale swoje teoretyczne założenia. Wszystkie jego zbiorki poetyckie od młodzieńczych „Śrub” aż po wydane na krótko przed wojną „Równanie serca” i nagrodzony ostatnio tom „Miejsce na ziemi” — to kolejne etapy rozwoju poety.

Przed wojną ceniony przez nieliczny krąg szczerych miłośników poezji, doczekał się Przyboś szerszej popularności: oficjalnego uznania swoich zasług pisarskich w Polsce demokratycznej. Jest to fakt bardzo radosny, że pierwszą nagrodę literacką Krakowa otrzymał poeta „trudny”, poeta-nowator i że poetą tym jest syn polskiej wsi — Julian Przyboś.

Nauczyciele, widząc u Jantusia wielkie zdolności i chęć czytania, pożyczali mu chętnie książki z biblioteki szkolnej, a nawet ze swej prywatnej. Po ukończeniu szkoły wiejskiej wypadło Jantkowi pomagać w gospodarstwie rodzicom, bo na posyłanie go do gimnazjum rodzice jego funduszy nie mieli. Jako młokos nauczył się Jantek nieźle grać na skrzypcach i flecie i jako wiejski grajek na weselach przygrywał. Za zrobiony w ten sposób grosz kupował książki i prenumerował gazety, zwłaszcza „Wienniec” i „Pszczółkę” i zaprzyjaźnił się z ich wydawcą, ks. Stojalowskim.

Jako młodzieniec zakochał się w uroczym „Magdusi”, i jej swe rymy miłosne poświęcał. Pierwszym jego poetyckim utworem drukowanym był wiersz ku czci Marii Kopnickiej w jej dwudziestopięcioletnie działo pisarskiej, zamieszczony w „Przodownicy”, piśmie dla kobiet wiejskich wychodzącym w Krakowie pod redakcją znaną działaczki narodowej, Marii Siedleckiej.

Odtąd zamieszkał Jantek coraz częściej swe wiersze bądź w „Przodownicy” bądź w „Wiennicy”, a także i artykuły prozą. Mimo przyjaźni z ks. Stojalowskim i współpracy w jego pismach, Jantek czynnego udziału w polityce nie brał, a gdy mu wypadło gdzieś na wiec iść, głosu nie zabierał.

Ożeniwszy się z ukochaną Magdusią osiadł na gospodarstwie w sąsiedniej wsi Paszkowice i biedę klepał. O tym swoim żywobyciu, tak w jednym liście Jantek z Bugaja pisze: „Co do mojego żywobycia, to jest ono ta-

kie, że dawno bym wypragnał, gdyby nie wrodzony mi humor, który jak cudowny „ekspeler” utrzymuje we mnie jaką taką energią życia, a prócz tego i moje kochane Magdusiątko, bez niej bowiem nie bardzo by mi tam wesoło było i gorzkawe niebieskie migdały. Powróciwszy z wojny światowej, zastałem dom doszczętnie okradziony. Niedługo Magdusiątko moje zachorowało umysłowo. W zakładzie dra Pilca w Krakowie i w Koblitzynie przyszła do zdrowia. Koszt leczenia przenosiły cenę dwóch morgów — szczęściem otrzymałem współpracownictwo w „Dzienniku Związkowym” amerykańskiej Polonii z płacą 130—150 zł miesięcznie a czytelnicy tego „Dziennika” składają zapłacić te koszty. Charakterystyczne, że gdy prosiłem senatora Bojkę listownie, aby mi wyjednał w Min. Opiek. Społ. pomoc, odpisał mi: „Złoty Janteczku! Skarb Państwa pusty. U mnie też cieniutko, podług stawu grobelka, posłałem ci 20 mareczek...” Za te mareczki kupiłem sobie koszulę, hom na gołej skórze kamizelkę nosi. Tak mnie wspomógł ten stary piernik, co przez lat 40 tysiąc mieszczę fasować!”

Idę dalej z moją dolą. Przed sześciu laty zachorował mi syn najstarszy Tadeusz 18-letni umysłowo, a był muzyk utalentowany — dziś beznadziejny z gorszym stanem duszy jak bydłko. Przed trzema laty kupiłem od sąsiada 1 morg ziemi za 3100 zł. Nieszcześnie chciwość chłopka na świętą ziemię wtręciła mnie w nędzę, bo do ostateczności morduje się, aby spłacić dług zaciągnięty na to kupno. Bez gaci jestem, w jednych portach, ale się nie dam, by mnie sprzedać. Za ten zarobek pismem w amerykańskich dziennikach wyksztaciłem syna Stanisława do matury. Zapisal się na prawo w Uniwersytecie Jagiellońskim, niestety przerwał studia, bo opłaty w elkie. Tyle i takie treściwe pokłosie jest mojego żywobycia.”

Na pismo nasze — organ Związku Literatów Ludowych dał niejaki p. Kokoszka aptekarz w Jordanowie 200 zł, za które się wydał numer o 24 stronach. Tytuł obrałem „Wies — jej pieśń”. Sądzę, że dalszy ciąg miesięcznika będzie, bo mamy zrzeszonych literatów już około 130, a sympatyków prenumeratorów sądzę, że się zbierze tyle, że 1000 egzemplarzy rozejdzie się na pewno.”

Dalszy ciąg tej generalnej spowiedzi Jantka z Bugaja pomijam, dotyczy ona bowiem kalkulacji wydawnictwa „Wies — jej pieśń”, którego Jantek był naczelnym redaktorem, (był on również prezesem Związku Literatów Ludowych, którego członków skupiało to pismo.)

Franciszek Kuś
Kraków

Dyskusja o Szeli

Szela — Dembowski

Nasz numer specjalny „Wsi” poświęcony setnej rocznicy rabacji z 1846 r. wywołał żywą reakcję wśród czytelników. Drukujemy dzisiaj dwie wypowiedzi naszych czytelników — chłopów na temat Szeli i jego roli w rabacji. Jest nader charakterystyczne, jak bardzo porusza umysły chłopskie sprawa tego pierwszego przywódcy rewolucyjnego mas ludowych z okresu porobojowego. Świadczy to, że chłopci nie chcą pogodzić się z tym jednostronnym osądem Szeli, jaki wydała na niego nasza dotychczasowa historia. Zagadnienie rewizji historycznej problemu Szeli staje się w świetle

wypowiedzi chłopskich pisarzy i działaczy sprawą o poważnym znaczeniu.

Uderza w tych wypowiedziach jeszcze jedno: chłopci bynajmniej nie apoteozują Szeli, nie chcą by robić z niego nowego świętego narodowego. Domagają się oni po prostu **sprawiedliwości**. Ta surowa rzeczowość, ten piękny obiektywizm, unikający przesady zarówno w chwaleniu ich i w ganieniu, świadczy najlepiej o sumienności tych przedstawicieli chłopstwa polskiego, którzy podejmują się obrony oczernianego bezlitośnie przez szlacheckich historyków przywódcy chłopskiej rewolucji.

Z wiekowej nienawiści

Wezwanie przez redakcję „Wsi” czytelników do podjęcia dyskusji nad „sprawą Szeli” uważam ze wszechmiar za celowe i pozytywne. Sprawa Szeli (tak będą nazywał temat dyskusji) nie znalazła dotychczas bezstronnego badacza i krytyka. Pamiętam reprodukcję medalu zatyłowanego: „Twórcom rzezi galicyjskiej 1846 r. ks. Metternichowi i Szeli”. (Medalion wybit w 1846 roku w Paryżu, — zbiory Muz. Nar. w Rapperswyliu). Medal wyobraża popiersie Szeli i Metternicha. Wokół medalionu napis: „Zgrozie i przekleństwu świata”, a dalej „Narzędzia polityki szatańskiej Galicji, zbójcy i oprawcy” i pod napisem lista osób, które brały udział w rabacji.

Ten obraz i treść medalionu była jak gdyby dyspozycją szkolnych lekcji historii, w „naukowym” naświetleniu.

Jak obecnie patrzymy na Szelę?

Nie powracam do analizy stosunków politycznych poprzedzających rok 1846. — W zwięzłej formie naszkicował je autor artykułu „Szela i jego historyczna prawda”. Chodziłoby o uzupełnienie: przebiegu rzezi galicyjskiej i jakie czynniki złożyły się na wypadki galicyjskie 1846 r.

Najważniejszy z nich, to współzycie wsi i dworu — chłop i obszarznik.

Obszarznik ściągał od chłopów dla siebie pańszczyznę, dla państwa austriackiego rozmaite robocizny, rekruta, podatki oraz wykonywał w imieniu rządu i cesarza „policję i sądownictwo nad wsią”.

Stanowisko więc szlachcica wobec chłopów w niczym się nie zmieniło na przestrzeni od 16-go i 17-go stulecia do 1846 r., — tylko szlachta utrzymywała własną pańszczyznę, przeszła na karierowiczostwo i służbę do innych „panów”, — w tym wypadku do cesarza austriackiego.

Rok 1846 przypada na okres rozkwitu przemysłu na Zachodzie, wzrostu klasy robotniczej i jej uświadomienia klasowego. Tego w tym okresie w Galicji absolutnie nie ma. Nie ma tu klasy robotniczej. Galicja żyje zacofanym feudalno — rolniczym życiem.

W tych warunkach chłop jako warstwa społeczna jest odosobniony i takim pozostanie jeszcze dziesiątki lat po krwawej rabacji.

Rząd austriacki z wiadomych przyczyn celowo utrzymywał takie stosunki w Galicji, a w czestych zatargach między wsią a dworem władze rządowe świadomie i celowo stawiały po stronie chłopów, grały na ciemnocie chłopskiej i samolubstwie szlachty.

Przy takich panujących stosunkach łatwo było biurokracji austriackiej w Galicji wykorzystać wszelkie atuty w walce z bezplanową robotą emisariuszy Towarzystwa Demokratycznego.

Oto jak pisał starosta lwowski Milbacher do mandatariusza w Humieńcu:

„Lwów 22. lutego 1846. L. 46.
Zwołaj pan wszystkich chłopów z kossami i każ im pan wszystkich buntowników pochwytać, a jeżeliby się bronili, zgładzić. Urolopownicy powinni pomagać pan komisarz Klosson przybedzie tam i przyniesie pomoc dzielnym chłopom; w tarnowskim cyrkule chłopci poradzi sobie dobrze, schwytał 108. pomiędzy nimi czte rech hrabiów, i zabili 27.

Masz pan sposobność do stwierdzenia swojej wierności dla Najjaśniejszego Pana i oczekuję też tego: odwaga i energiczne działania doprowadzą do zasłużonego ukarania buntowników. Donoś mi pan o wszystkim. Milbacher”.

Werbunek chłopstwa przez rząd austriacki odbywał się różnymi drogami. Rozpuszczano pogłoski, że cesarz chce znieść pańszczyznę, a opierają się temu panowie, że szlachta chce sprawić rzeź chłopów, oraz że cesarz zawiesił na czas pewien dziesięć przykazań boskich.

Przygotowania poczynili poszczególni starostowie: w cyrkule tarnowskim Breindl von Wallerstern, w bocheńskim Bernd i inni.

Chłopci otrzymali instrukcje, a przywódcy band datki pieniężne.

Przywódcami band chłopskich byli urzędnicy starostw, bądź to urlopowani, jak Krynicki, bądź też w czynnej służbie, jak Leśniewicz, Chomiński.

Wiadomość o wymierzaniu przez chłopów sprawiedliwości na panach docierała nie raz do głuchej wsi. Wiekowa nienawiść i poczucie krzywdy, a zarazem wiara w siłę i poparcie nakazuje spontaniczne organizowanie się i wystąpienie przeciwko znieważdzonemu panu.

A teraz sprawa Szeli.

Wspomniany Breindl w swych pamiętnikach pisze: „Szela słuchał mego rozkazu i rozwiązywał złączone gminy na moje polecenie”.

Jasne jest, że Szela mający wszelkie kwalifikacje przywódcy oraz organizatora bezkrytycznie rozkazów Breindla byłby nie wypełniał. A jeżeli je wypełniał, to działać musiał po otrzymaniu pewnych zapewnień i obietnic ze strony Breindla. Nie było to bynajmniej obietnice tego rodzaju, że otrzyma „największy medal honorowy złoty za szczególną wierność okazaną tronowi” i pieniądze. Zresztą medal taki otrzymał reskryptem z 10. VII. 1847.

Obietnice Breindla były jasno sprzeczne z chłopskim rozumem Szeli — Chłopi wypędzą i wytepią obszarzników, a w zamian za to znieślona będzie pańszczyzna, zniszczone będą podatki i inne świadczenia wobec panów.

Ale Szela nie zadowolili się obietnicami. Domagał się od starosty ich spełnienia, groził starości, że w przeciwnym razie nie pozostanie z Tarnowa kamień na kamieniu. W celach zapobiegawczych przesiedlono go na Bukowinę na samodzielne gospodarstwo.

Prócz Szeli występują inni przywódcy, jak Koryga i Stępieł w bocheńskim powiecie.

Ogółem rząd austriacki w dowód nagrody wydał chłopom i wójtom 14 złotych medali za wierność i kilkadziesiąt nagród pieniężnych dla wsi i pojedynczych chłopów, od 1000 do 50 reńskich, a oprócz tego specjalne podziękowanie cesarskie.

Nie należy wątpić, czy nagrody te przyjmowane były z należytym zrozumieniem. W chwili nagradzania zachowywali się na pewno tak, jak w innych okolicznościach zachowywał się sieniawicki Bartek-Zwycięzca.

Odrębnie napewno pojmował nagrodę Szela. Poraz pierwszy w życiu dopuszczany do przeprowadzenia rozmów z przedstawicielami władz, mający za sobą posłuch mas chłopskich, Szela nabrał chłopskiej pewności siebie, stawał się hardy, czujący siłę i krzepę w sobie. Ale rozum Szeli nie mógł objąć całości wydarzeń. Szela nie znał ani ekonomii ani historii ruchów społecznych.

Zniesienie poddaństwa pociągało w konsekwencji osłabienie przemocy austriackiej, wobec czego ruch społeczny w połączeniu z ruchem wolnościowym mógł dać pełną swobodę klasie chłopskiej.

Tego nie mógł wiedzieć Szela, tak jak nie wiedział tego Stiepan Razin. Następnie rola, jaką odegrał Jakub Szela, jest małym wycinkiem w szerokim akcie rabacji. Takich jak Szela było wiele, chociażby jak wspomniani już Koryga i Stępieł. Nie tylko Szela otrzymał od rządu cesarskiego złoty medal i nagrodę. W końcu nie tylko Szela mógł być rozgoryczony na rząd austriacki, który chociaż obiecał chłopom zniesienie pańszczyzny, obietnicy nie dotrzymał. W tym wypadku Szela miał jak najmniej powodów do niezadowolenia, ponieważ z chłopów pańszczyźnianego stał się chłopem samodzielnym na własnej zagrodzie na Bukowinie. Od czasów rabacji postaci w rodzaju Szeli w naszej historii nie spotykamy.

Spotkać zaś możemy różnych Szelów idących na barykady wraz z masą robotniczą, — jedyną świadomą i przodującą klasą, która prowadzi bezwzględna walkę z uciskiem. Szela zaś pozostanie dla nas jako przykład zarówno wielkich wartości moralnych jak i dużych wad polskiego chłopca.

A. KOST.

W stulecie powstania r. 1846, i równocześnie z nim wybuchłej rewolty chłopskiej tzn. „rabacji”, która była zwrócona przeciwko powstańcom względnie szlachcie, intrygują badaczy tych czasów dwie główne postaci, bohaterów powstania i rabacji: płomiennego demokrata i patriotę Edwarda Dembowskiego, jednego z przywódców powstania — i przywódcę rabacji chłopskiej Jakuba Szeli, chłopca ze Smarżowej w pow. Pilzneńskim. Ale podczas gdy o Dembowskim napisano już cały szereg pochlebnych publikacji, o Szeli płątają się ciągle jeszcze po piśmach i broszurach historie niesamowite w swej grozie. Pisarze szlacheccy zrobili z Szeli potwora w ludzkim ciele, postać odrażającą, skalaną krwią, płatnego najemnika rządu austriackiego.

Nowe badania odrzucają jednak stanowiąc o te niesprawiedliwe opowieści o Szeli.

Szela był pojętym uczniem swej epoki, nie lepszym niż gorszym od pastwiącego się nad chłopem szlachcica, perfidnego starosty Niemca Breindla, czy tysięcy innych chłopów, dyszących zemstą za doznane krzywdy. A może był nawet lepszy od tamtych. I chociaż skalano jego pamięć, bo mu nawet i Wyspiański w swoim „Weselu” nie darował, Szela powinien być i będzie zrehabilitowany, bo na to zasłużył. Czyim zresztą dziełem była rabacja? Czy Szeli? Niel. Była ona owocem tyrańskiego stosunku pana do chłopów, rezultatem utrzymywania go w ciemnocie, wpajanej mu przez takich „przewodników” jak rząd, szlachta i kler.

Nie była zresztą „rabacja” w Galicji niczym nowym. Na przestrzeni naszych tysiącleci dzieł nieraz się chłopcy zrywali do walki ze swoimi ciemiężcami i nieraz zalali sadła za skórę szlachcie, choć nie nie wskórali.

O najstarszej takiej rabacji wspomina w swojej „Historii Polskiej” biskup Naruszewicz: (t. I str. 261).

„W r. 1036 pomnożyła się domowa nieszczęśliwością chłopska na panów rebella. Pamiętni swoich krzywd, uciemiężeni kmięcie jedni przez zemstę, drudzy jakąś zarzą omamieni porzuciwszy plugi udali się na rzeź swych dziedziców. Porobiwszy sobie hersztów, stawiali przez dłuższy czas opór zbrojny panom. Wiele miast, wiosek i dworów rozrzucała swawola w perzynie obróciła, że w krótkim czasie ledwo nie cała została pustynią”.

Naruszewicz nie podaje wstydliwie powodów tej rebelii, nie wymienia nazwisk żadnego „herszta”, ale już to krótkie wspomnienie o pierwszej w dziejach ruchawce chłopskiej daje dużo do myślenia. Bo jakże wielkie musiały być krzywdy chłopów, jeżeli już w czasach Mieszka II w mało zaludnionym kraju, wśród lasów gęstych błot i trzęsawisk, jakie wtedy w Polsce istniały, potrafili się chłopcy zebrać na jednym miejscu, ażeby ruszyć z pomocą na swych ciemiężycieli.

Wszyscy historycy zajmujący się tymi czasami, robią Szelę przywódcą rabacji i to jest prawda. Ale nie jest prawdą, że Szela był ze wszystkich mściwców najokrutniejszym, najbardziej żądnym krwi szlacheckiej. Prawdą jest natomiast, że był on jedną z najciekawszych postaci w galerii przywódców chłopskich, o wielkiej wśród ludu popularności.

Nie chodził do szkół, bo ich nie było, ale umiał czytać i pisać. Sztuk tych nauczył się prawdopodobnie w służbie wojskowej, którą skończył w randze feldfebla czyli sierżanta. (Służba wojskowa trwała w owych niespokojnych czasach długo, bo 8 — 12 lat). Był chłopem o czytelnym, starożytnym, rozumnym, choć zapewne patriotą polskim nie był, bo i kto mu miał ten patriotyzm wpoić? Czy może szlachta, która jedynie wysysała ze wsi wszystkie soki? I jakże potępiał Szelę za brak patriotyzmu i poczytywać mu za złe, że do powstania nie poszedł — a nawet przeciwko niemu się zwrócił, jeżeli i wielka część szlachty także do powstania odnosiła się niechętnie, bo tak była zapatrzona w blask austriackiego dworu, skąd padały zaszczytne ordery i tytuły hrabiowskie.

Patriotą nie był, szlachty nienawdził, bo widocznie miał za co, ale znowu tak bardzo grzesznym człowiekiem nie był. Nie on rozbił chłopów, ani orgii pijackich nie urządzał. I nie on płać za głowę szlachcica żywego 10 reńskich a za głowę zabitego 5 reńskich. Roboty to urzędowe kreatury austriackie. „Inni szatani byli tam czynni” — mówi o tych złowrogich czasach pieśń.

Wszystko przemawia za tym, że Szela nie był sobie zwyczajnym, ciemnym, tu-

zinkowym chłopem. W każdym razie był oryginałem, wybijającym się ponad otoczenie i zapewne ciasno mu było — jemu przyzwyczajonemu w wojsku do rozkazów i porządku, do pracy dla siebie a nie dla panów w obręczach pańszczyzny. Za to nienawdził szlachtę całą duszą, siedł na swojego pana ze skargą pono aż kilkadziesiąt kilometrów ze Smarżowej do Lwowa, do Gubernatora.

Może tkwił w nim talent wodza, może przewyższał swadą, samorodnym rozumem i rozgarnięciem wszystkich wokół, więc jemu przyszło przejść do historii jako niefortunnej szlachcie całą duszą, siedł na swojego pana ze skargą pono aż kilkadziesiąt kilometrów ze Smarżowej do Lwowa, do Gubernatora.

Że Szela nie był żadnym „krwiopijcą” ale człowiekiem ogólnie szanowanym, świadczy najlepiej fakt następujący:

Gdy z okazji wstąpienia na tron nowego cesarza austriackiego Franciszka Józefa I, ówczesny biskup tarnowski ks. Wojtowicz wydał galowe przyjęcie, na które oprócz różnych austriackich i polskich dostojników zaprosił także Jakuba Szelę. Wspomina o tym poseł dr. J. Putek w książce p.t. „Pierwsze wystąpienie polityczne włościanstwa polskiego w latach 1848 — 1861”. A czy jest w ogóle do pomyslenia, żeby biskup zapraszał na obiad krwią bratnią skalanego Szelę, i czyż śledziła by z nim i bawiła się, gdyby tak było — „śmietanka towarzystwa”?

Tragedią Szeli było, że urodził się w czasach, w których nie mógł gdzie indziej rozwinąć swego talentu wodzostwa, jak w rabacji — bo urodził się może o wiek za wcześnie. W demokratycznym ustroju wysunął by się niechybnie na czoło ruchu ludowego, został by, jakimś poważnym działaczem.

Szela, jak stwierdzają pisarze, którzy podjęli się jego rehabilitacji — np. Janik i Lipiński — nie mordował sam ani nie brał udziału w różnych orgiach pijackich swoich podkomendnych. Kierował tylko akcją i wydawał chłopom odpowiednie rozkazy, co do uwiezienia i odebrania broni powstańcom.

Zemścił się tylko srodze na całej rodzinie Boguszów, ale była to już zemsta bolesnie dotkniętego ojca, bowiem jeden z rodziny Boguszów uwiódł mu córkę. Wymierzył sobie sam sprawiedliwość, bo o nią nie mógł by się i tak nigdzie doprosić, ale tak samo postąpiłby w takim wypadku i w stosunku do niego Boguszowie.

Lipiński przypuszcza, a nawet zdaje się być pewnym faktu, że Szela mógł być uczniem Dembowskiego.

Nie zakrawa to na prawdę. Nie ma pewności, że Dembowski objeżdżał wszystkie te powiaty, które były objęte później groźnym płomieniem rabacji, a jeżeliby się nawet Dembowski ze Szelą spotkali — i gdyby Dembowski wywierał jakiś wpływ na Szelę, to dla czegoż się później ich drogi rozeszły? Dlaczego Dembowski był duszą powstania, a Szela wystąpił przeciwko powstańcom — gdyby byli uzgodnili poglądy?

Tak Szela, jak i wszyscy chłopci biorący mniej lub więcej czynny udział w rabacji, zasługują bezwzględnie na krytykę, a większa ich część zapewne i na potępienie, choćby dlatego, że „nie wolno czynić złe, aby było dobrze”.

Na usprawiedliwienie można jedynie podać, że byli ciemni, szukali jakiegokolwiek odwetu na gnębiących ich szlachcie, a gdy się napili, nie wiedzieli co czynili. Obojętne było wtedy dla nich, kto rządził — Austriak czy Polak, „bies czy pies” — bo nigdzie by i tak nie mogli, wyzbroić dla siebie sprawiedliwości.

Skorzystali z okazji i zaczęli ją sobie wymierzać sami. Może przeholowali, jeśli wyróżnili coś około 2000 szlachty, jeśli obliczenie nie jest przesadzone, ale ich zginęło pod batami znacznie więcej, bo miliony.

Najtraģiczniejszym jest to, że ze szlachty zginęli najsłabsi ludzie i patrioci, którzy myśleli o zniesieniu pańszczyzny, a ocalili się słudzy Austrii i zdrajcy Polski i Narodu. Ale czyż to było winą chłopów? Do winy niech się przynajmniej ci, o których wieki trzymali lud w ciemnocie i poniżeniu.

Na nich się spełniło przysłowie o kiju, co ma dwa końce.

MACIEJ CZUŁA

(*) Fr. Lipiński: Słowo o Jakubie Szeli Nurty Nr. 4, 1938.

STEFAN LICHANŃSKI

Próba nowej prozy

Znana tłumaczka Zofia Petersowa rozpoczęła swoją działalność literacką w okresie powojennym książką własną: reportażem „Wrzesień Warszawy 1939”^{*)}.

W przedmowie nazywa autorka swoją pracę reportażem, pamiętnikiem i pisze o niej: „Nie ma w książce niniejszej ani zmyślenia, ani fantazji: **tak rzeczywiście było**”. Autorka powinna być raczej użyć w tym wypadku zwrotu: ja to naprawdę tak właśnie widziałam. Bo na pewno nie wielu z tych, którzy przeżyli oblężenie Warszawy, widziało tyle tak interesujących rzeczy: trzeba na to być pisarzem o nieprzeciętnych uzdolnieniach obserwatorów, skich i nieprzeciętnej umiejętności formułowania tych obserwacji w sposób jasny i bezpretensjonalny, a jednak bardzo sugestywny. To jedna strona medalu, ale jest i druga. Petersowa zdaje się podzielać dość rozpowszechnione mniemanie, że reportaż – to czysty obraz życia, niefałszowany i niewystylizowany, niepokalona „szukla chytrą” prawda obiektywna, którą należy przeciwstawić wszelkiej literackiej fikcji. Błędne to mniemanie, uświadliwione psychologicznie w naszym pokoleniu tęsknotą za realizmem, którym programowo pogardzali od dziecięcych lat, ku utraپieniu nieszczęśliwych czytelników, wszelkie literackie piękności, ma w sobie jakiś sympatycznie romantyczny odcień religijny niemal kultu dla dokumentu, faktu, ścisłości, doświadczenia, ale cenne jest raczej jako wyraz niewątpliwie zdrowej tendencji, niż jako obiektywnie słuszna ocena nowego rodzaju literackiego.

Reportaż powstaje tak samo jak każde inne dzieło literackie: tak samo odbywa się przy pracy nad nim selekcja materiału zbieranego drogą obserwacji, tak samo działają na formowanie się tego materiału w literacką całość – poza wszystkimi innymi – formalne wymagania, wynikające z potrzeb przyjętego przez autora schematu konstrukcyjnego, tak samo jak i wszelki inny utwór literacki zabarwia się reportaż elementami emocjonalnymi i wręcz zawsze wypowiada się w nim – choćby ubożnie – prywatny światopogląd autora (nie należy mieszać z tzw. „myślą przewodnią”).

Najbardziej podstawowa różnica pomiędzy reportażem a innymi rodzajami prozy artystycznej polega na tym, że na plan pierwszy wysuwa się w nim troska o przedstawienie faktów rzeczywistych z perspektywą jakiegoś takiego układu odniesienia, który konwencja światopoglądowa panująca w danym okresie i środowisku każe uważać za obiektywnie ważny i nadrzędny w stosunku i do autora i do czytelnika, podczas gdy w prozie artystycznej chodzi przede wszystkim o manifestację osobowości twórczej pisarza, fakty zaś (nawet w razie zajęcia stanowiska skrajnie naturalistycznego) są zawsze tylko materiałem do artystycznej obróbki. Jednym słowem: proces przykrawania, organizowania i stylizowania materiału, to wszystko więc, czym chętnie popisuje się np. powieściopisarz, ma być u reportażysty schowane, przeniesione w okres pracy przygotowawczej – w dzieło zrealizowanego artysty roboty musi wślknąć niejako w obraz dający jak najpełniejsze wrażenie „rzeczywistej rzeczywistości”.

Fakty powyższe określają w znacznej mierze możliwości języka reportażu. Zasada czytelności, dostępności dla najszerszego kręgu czytelników jest w reportażu zasadą istotną, podczas, gdy w odniesieniu do powieści może ona być traktowana jedynie jako propozycja, którą autorowi wolno przyjąć lub nie przyjąć. Powieść „trudna” może być literaturą wysokiej klasy, trudny do czytania reportaż jest reportażem chybionym. Sam jednak postulat czytelności jest tylko zakreśleniem bardzo szerokich ram, w obrębie których wiele jest miejsca na indywidualne próby i poszukiwania dla pisarza reportażysty. Nie wystarczy więc stwierdzić, że da-

ny reportaż jest czytelny, trzeba wziąć na warsztat metody pracy, przy pomocy których osiągnął autor tę czytelność, gdyż dopiero zanalizowanie rodzaju i jakości roboty pisarskiej jest decydujące dla określenia artystycznej rangi utworu.

Pierwsze zdania „Wrzesnia Warszawy” brzmią następująco: „Sierpień obfitował w polityczne rozmowy, dociekania i rozważania. Zgadzano się na jedno: jeżeli Niemcy uderzą na Polskę, „połamią sobie na niej zęby”. Wiedzano o odgrazaniu się chłopstwa, powtarzano wyrażenia żołnierzy, przypominano sobie seiki depezy do naczelnego wodza z okazji „dni sierpniowych”, obchodzonych tego roku wyjątkowo uroczystości ze względu na dwudziestopięcioletnie legionowe czynu. W salonach i na ulicy, w kawiarniach i w sklepikach, wszędzie panował nastrój trochę buńczuczny, trochę niedowierzający, a na ogół niesłychanie pewny siebie”. Autorka nie stara się bynajmniej o przedstawienie pełnego obrazu naszej sytuacji w sierpniu 1939 roku, poprzestając na zapisywaniu tego, co poznała ze ściśle osobistych obserwacji. To ściśle określenie perspektywy, w jakiej ukazane być mają wypadki omawiane w książce, jest dobrowolnie przyjętym rygiem artystycznym, z którego autorka nie wyłamuje się ani razu, choć wiele ma do tego okazji i pokus. Wytrzymując zaś przez cały ciąg opowiadania jednolitość postawy pisarskiej, osiąga Petersowa to, o co tak trudno naszej prozie powieściowej, żyjącej ciagle pod urokami dwu wielkich majstrów stylistycznego efekciarstwa: Sienkiewicza i Żeromskiego, – rzeczową, spokojną prostotą stylu.

„Któregoś dnia przyniesiono na punkt od strony ulicy Jasnej nosze, z leżącą na nich starszą panią. Obrzynie oczy patrzyły z przerażeniem i strasliwym cierpieniem z woskowo żółtej twarzy. Obok niej leżała osobno, odwrócona podeszwą do góry naga, trochę przybrudzona stopa. Ludzie postawili nosze na środku pokoju, a towarzyszący jej pan, blady, jak papier, ukląkł przy niej bez słów. Spojrzałam na

obydwoje, szybko kazałam któreś z siostr dać im kropli wzmacniających, po czym zabrałam się do opatrunku”. Nie jest to stanowczo styl prozy powieściowej. Uwaga, że nosze przyniesiono „od strony ulicy Jasnej”, wydaje się zgoła niepotrzebna. Przy dalszym czytaniu fragmentu spotykamy łatwo parę innych potknięć autorki, jak np. dwukrotne niezbyt zręczne posłużenie się zaimkiem osobowym, które powoduje niejasność zdań i to niejasność o komicznym efekcie (czy stopa leżała obok rannej, czy obok jej twarzy? czy starszy pan towarzyszył rannej, czy jej stopie?). Czy to są błędy? Chyba nie. Tak się nie pisze, ale tak się **mówi**. Otóż zwrócić tu trzeba uwagę na fakt, że autorka nie posługuje się stylem prozy powieściowej, ale daje po prostu zapis **relacji ustnej**. Ten reportaż nie jest niedociągnięta do wyżyn artystyzmu powieści, ale rezygnuje on z powieściowości na rzecz **opowiadania, prozy mówionej**. Nie znaczy to, by proza ta nie mogła osiągnąć efektów zgoła nieprzeciętnych, wystarczy przeczytać następny epizod: opis śmierci siedemnastoletniego harcerza.

A teraz stosunek autorki do tematów nasuwających się z ubocza, nieistotnych dla głównego nurtu opowiadania. Takim wątkiem tematycznym o tendencji do pałajniczego rozrastania się kosztem głównego tematu jest sprawa siostry Pieji, zamaskowanej po paru dniach pracy na punkcie opatrunkowym agentki niemieckiego wywiadu. Jest to wcale niezły temat do sensacyjnej noweli i na pewno niejeden pisarz nie oparłby się w tym wypadku pokusie i rozbudowałby szerzej historię pielęgniarki-spiegi. Petersowa tego nie robi, poświęca ona ten właśnie rozdział opisowi prac na punkcie opatrunkowym LOPP-u i dlatego rezygnuje dobrowolnie z szerszego rozpracowywania materiału nieistotnego dla obchodzącego ją zagadnienia. Zasada koncentracji opowiadania wokół jednej zasadniczej sprawy bierze górę nad ambicją literackiego efektu. Kompozycja **opowieści ustnej**, relacji bezpośredniej każe mówić o **wszystkim**.

Narodowość i wyznanie

Granice naszego państwa przesunęły się na zachód i północ. Fakt ten spowodował wcielenie w obręb naszego składu narodowościowego nowej wielkiej gromady Polaków wyznania ewangelickiego. Problem Polaków ewangelików istniał u nas od czasów wielkiej reformacji i różne w ciągu dziejów przechodziły koleje. Istniał i przed wojną ostatnią. Nie byliśmy w tej sprawie bez grzechów i błędów. Dziś powrót znacznej liczby Polaków-ewangelików na łono rodzinnego kraju aktualizuje to zagadnienie i stawia nas wobec faktu, że zdawkowe wyrażenie „Polak – to katolik” bardziej, niż kiedykolwiek nie oddaje istotnego stanu rzeczy.

Wielka rzesza Polaków-ewangelików stanowi dla naszego życia wyznaniowego problem rozszerzony i traktowanie go musi być oparte na naszych najpiękniejszych wzorach tolerancji w przeszłości. W ostatniej krwawej zawierusze Niemcy wyrażnie starali się wygrać ewangelików dla siebie. Operali się oni na błędnym założeniu, że każdy ewangelik, to Niemiec. Rzeczywistość zadawała temu kłam, a wydany w Cieszym kalendarz ewangelicki na rok 1946^{*)} rejestruje tragiczne straty patriotycznego kościoła ewangelickiego w Polsce w latach 1939 – 1945.

Ponurą tę listę otwierają straty duchowieństwa ewangelickiego w Polsce. Kalendarz tak o nich mówi: „ciężkie straty poniósł nasz Kościół Ewangelicki w Polsce w czasie wojny. Z kilkuset księży pozostało przy życiu nie całe sto, a i z tych nie wszyscy jeszcze wrócili z wygnania, gdzie ich zapędziła wojna”.

Wśród opisów martyrologii księży ewangelickich widnieją na początku nazwiska ks. dr. Juliusza Bursche i ks. dr. Edmunda Bursche. O pierwszym kalendarz pisze: „ks. dr. Juliusz Bursche, biskup kościoła ewangelickiego w Rzeczypospolitej Polskiej. Aresztowany we wrześniu 1939 w Lublinie, przewieziony

został do obozu w Sachsenhausen koło Oranienburga. Kilkakrotnie używany na przesłuchaniach po jednym takim „przesłuchaniu” nie powrócił do celi. Zatrutł go elegancyjny panowie z trzupim głowkami na czapkach. Zarzucali mu Niemcy podczas przesłuchań cztery rzeczy: 1) udział w konferencji pokojowej w Wersalu 1919 r., jako rzeczoznawcy dla spraw mazurskich; 2) przewodnicząco komitetu mazurskiego w czasie plebiscytu na Mazurach w 1920 roku; 3) wypracowanie ustawy o stosunku kościoła ewangelicko-augsburskiego do Państwa Polskiego w 1938 r.; 4) wydanie manifestu we wrześniu 1939 r. do ludności ewangelickiej w Polsce potępiającego ideologię hitlerowską”. Jest to naprawdę wstrząsająca i zaszczytna metryka obywatelska Polaka-Ewangelika.

Pośród innych artykułów kalendarza zwracają uwagę rozważania Pawła Hulki-Laskowskiego na temat: „Wyznanie a narodowość”, w którym autor naświetla losy ewangelicyzmu i ewangelików na tle naszych dziejów i niedawnej rzeczywistości wojennej. Warto zacytować, co w pewnym miejscu autor pisze: „ze stron zamieszkałych przez Mazurów ewangelickich dowiadujemy się, że przy całej światłej życzliwości wyższych organów administracyjnych dla naszych Mazurów, którzy tak wytrwale bronili się germanizacji i tak okrutnie byli degradowani przez zabór prusacki, organy niższe naszych władz lokalnych, nie orientując się w różnicach między wyznaniem a narodowością, traktują tych biednych braci naszych jako Niemców”.

Inny artykuł omawia współpracę ewangelików w odrodzeniu narodowym Śląska Cieszyńskiego w czasie, kiedy napór z jednej strony brutalnej germanizacji a z drugiej czechizacji osiągnął najwyższe nasilenie. Adolf Badura w artykule „Paweł Hulka-Laskowski, współczesny pisarz ewangelicki”, kreśli sylwetkę P. Hulki-Laskowskiego na tle jego życiorysu jako literata, religjologa, pisarza i działacza ewangelickiego. Inne prace kalendarza dopełniają strony informacyjne o stanie Kościoła Ewangelickiego w Polsce.

T. G.

stkim, co się zdarzyło, byle tylko ubocznych zajęć nie wysuwać na czoło.

Autorka zwierza się w przedmowie, że miała zamiar podawać fakty w porządku chronologicznym, ponieważ jednak trudno było po upływie kilku miesięcy przypomnieć sobie dokładnie kolejność zdarzeń, wybrała inne wyjście. „Pozostała zatem droga przeprowadzenia każdego tematu oddzielnie, tj. od momentu jego narodzin przez fatalne te dni aż do momentu kapitulacji. Dlatego cały okres przewija się wielokrotnie, jakkolwiek za każdym razem ma inny aspekt”. Całość reportażu została skomponowana jak utwór muzyczny: motyw zasadniczy, tzn. oblężenie Warszawy, pojawia się wielokrotnie na tle coraz to innych wątków tematycznych, jak np. praca na punkcie opatrunkowym, kłopoty mieszkaniowe i aprowizacyjne, wędrówka po ulicach oblężonej Warszawy itp. Rozwiązanie to jest chyba szczęśliwsze niż pierwotny pomysł kroniki. Owo stałe nawracanie motywu zasadniczego przy zmieniającej się scenarii potęguje nastrój, wzmacnia efekt, a jednocześnie budzi wrażenie daleko większej bezpośredniości opowiadania. Otrzymałmy w rezultacie jednolity cykl opowiadań zamiast jednej długiej opowieści – i stało się dobrze: mamy przeprowadzoną konsekwentnie aż do ogólnej kompozycji utworu narrację utrzymaną w prozie mówionej, a nie literackiej.

Nasz język literacki wymaga odświeżenia. Klasyczna proza polska, proza Rzewuskiego, Prusa, Orzeszkowej, Dygasin-skiego nie ma w naszym pokoleniu godnych kontynuatorów, ostatnimi jej pogromcami byli Sieroszewski i Chojnowski. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że dekadencję polskiej prozy rozpoczął już Sienkiewicz, u którego styl zaczyna być celem sam dla siebie. Sienkiewicz pierwszy zburzył równowagę pomiędzy językiem literackim a przedmiotem opisu, dając przewagę elementom zdobniczym nad opisowymi. Zanarchizowali zaś naszą nie-szczęsną prozę do szczytu Żeromski, Przychyszewski i Kaden-Bandrowski. Charakterystyczne jest, że najwybitniejszy nasz nowator poetycki, Przybysz, tak wysoko ceni prozę dokumentarną. Jedynie bowiem radykalne zerwanie z młodopolską historią i wszelką nadrealistyczno-ekspresjonistyczną czkawką, niwecząca nawet najbardziej podstawowe rygory składni, może wyprowadzić naszą prozę ze ślepego uliczki bezstylowego chaosu. Nawrót do autentycznego tematycznego i do mowy potocznej pozostają za sobą w ścisłym związku: odnowienie materiału fabularnego prozy polskiej musi być uzupełnione przez odnowienie środków literackiej wypowiedzi.

Reportaż bynajmniej nie „wykańcza” powieści, jak to mniemają naiwni bałwochwalcy dokumentaryzmu literackiego, ale stwarza dla niej nowe możliwości rozwojowe. Wyciągnięcie wniosków z dobrze i gruntownie przemyślanej poetyki reportażu może przyczynić się do zaniku powieści o schemacie fabularnym przejętym z czasów, kiedy powieść była tylko „romansem”, tzn. plotką lub bajką czytana dla rozrywki, ale nie może w zupełności unicestwić tego tak bogatego rodzaju literackiego.

Na tle obecnej sytuacji w naszej prozie powieściowej śmiały nawrót do prozy mówionej, do języka bezpośredniej relacji czyni książkę Zofii Petersowej zjawiskiem nader miłym i krępującym. Nawrót ten był zresztą mimowolny i spowodowany pebuddkami pozaartystycznymi, nie zmniejsza to jednak jego wagi. Autorka „Wrzesnia Warszawy” ma szanse w dalszym ciągu eksperymentować z powodzeniem w kierunku wytyczonym przez jej ostatnią książkę. „Wrzesień Warszawy” jest nader cennym dokumentem, ale literacko jest – jeżeli nie pełnym osiągnięciem – to w każdym bądź razie odkryciem pewnej nowej możliwości. Zrobienie zaś pierwszego kroku na jakiejś nowej drodze – choćby nawet przypadkowe – jest niewątpliwie zasługą: ów pierwszy ślad będzie ku ci i zachęcał innych wędrówców.

^{*)} Zofia Petersowa: Wrzesień Warszawy 1939, reportaż, Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana, Warszawa, 1946, str. 168.

^{*)} Kalendarz Ewangelicki na rok zwyczajny 1946 wydany przez grono ks. pastorów, rocznik pięćdziesiąty, Cieszym 1946.

ILIA ERENBURG
przekład Pawła Hertza

P o w y b o r a c h

Poniższy fragment stanowi przekład rozdziału powieści wybitnego pisarza radzieckiego Ilji Erenburga p. t. „Upadek Paryża”, która w najbliższym czasie ukaże się w całości w polskim przekładzie Pawła Hertza nakładem Sp. Wyd. „Książka”. Akcja zamieszczona przez nas fragmentu toczy się w okresie wyborów parlamentarnych we Francji, które odbyły się na kilka lat przed wojną. W wyborach tych, jak wiemy zwyciężył Front Ludowy, koalicja stronnictw demokratycznych. Jednakże wskutek błędnej polityki ówczesnej socjalistycznej partii Francji oraz intryg radykałów, którzy jakkolwiek przyłączyli się do Frontu Ludowego, starali się jednocześnie rozsadzić go od wewnątrz, gabinet upadł i prezydent powierzył formowanie nowego rządu Daladierowi.

W zamieszczonym przez nas fragmencie Erenburg opisuje spotkanie wielkiego finansisty Dessère'a z premierem rządu Viardem. Jakkolwiek nazwiska osób są fikcyjne, rozpoznajemy w nich postaci znane nam z życia politycznego Francji przedwojennej.

Zwycięstwo Frontu Ludowego zaniepokoiło mieszczuchów: mówili o grożących strajkach, o kryzysie, o nieporządkach. Przestraszone damy szeptały między sobą: „Moja służąca rozzuchwiała się!” Sklepi-karze chowali produkty. Wyżsi urzędnicy wyjaśniali pobłaźliwie, że nie będą słuchać nowych ministrów: „To kacyki na godzinę”. Breteuil zaproponował wszystkim „uczciwym Francuzom”, by udekorowali swoje domy flagami narodowymi i w ten sposób zaprotestowali przeciwko Frontowi Ludowemu. Na niektórych ulicach fasady domów były ozdobione trójkolorowymi flagami, inne — czerwonymi i wydawało się, że nie tylko ludzie, ale i cegły gotowe są rzucić się na siebie. W sferach finansowych panowała niepewność; mówiono o wielkich podatkach od kapitału, nawet o nacjonalizacji banków. Kapitałiści wysyłali pośpiesznie pieniądze do Ameryki. Tylko Dessère zachował całkowity spokój. „Jak pan może pracować w takich czasach?” — spytał go znajomy bankier. Dessère odpowiedział mu: „Niech mi pan powie, czym różni się Blum od Sarrauta? Jestem nazbyt gruboskórny, żeby rozróżnić takie drobne odcienie”. Dowiedziawszy się, że Viard został mianowany ministrem, Dessère postanowił z nim szczerze porozmawiać; to przecież dzieciaki, mogą narobić głupstw... Zatelefonował do Viarda: „Już dawno miałem ochotę obejrzeć pańską kolekcję obrazów...”

Viard na wiecach niejednokrotnie wspominał nazwisko Dessère'a; mówił, że Dessère to typ bezwstydnej aferzysty. Jednak dowiedziawszy się o oczekującej go wizycie, pomyślał z dumą: a przecież Dessère mnie wybrał! Nie pamiętał już o swoich przemówieniach, w których demaskował Dessère'a; żył teraz jak chłopiec, któremu wszystko wydaje się nowe. Minał zaledwie tydzień, gdy został ministrem, a nie tylko inaczej teraz myślał, lecz nawet inaczej się uśmiechał i inaczej zakładał nogę na nogę; wszystkie jego myśli i gesty były podporządkowane nowej sytuacji, w której się znalazł.

Dessère pamiętał o wszystkim, lecz objętnie przyjmował zarówno przykrości jak pochwały, pogadzał słowami. Przywitał się z Viardem:

— Drogi przyjacielu, jestem szczęśliwy, że widzę pana na tym stanowisku.

Sztuczność rozmowy znikła w obliczu obrazów. Viard od razu zrozumiał, że Dessère zna się na malarstwie. Prowadzili miłą rozmowę o „niebieskim okresie” Picassa, o Utrillo, o rysunkach Matissa. Oglądając szkice Modiglianego, pełne lekliwych przeczuc, Dessère rzekł:

— To młodziuchane, jak w statycznej sztuce wyraża się skrajność, nawet nadmiar...

— Podziwiam to samo u starych mistrzów: u Greca, Zurbarana...

Dessère wyjął fajkę z ust, otoczył rozmowę ostrym dymem (palili tani czarny tytoń) i nagle powiedział:

— No, teraz będzie się pan musiał tego wyrzec. Trudno, sam pan sobie wybrał zawód polityka. Ja na przykład mogę ryzykować. Każda sztuka ma swoje prawa. Polityka — to wielkie długie mowy i małe sprawy. Popierałem pana w czasie wyborów, gotów jestem dalej panu pomagać. Ale ilu jest takich jak ja? Giełda pana nienawidzi, dla Wendla jest pan bandyta, dla panów z „Credit Lyonnais” — włamywaczem. Wystarczy, żeby pan uczynił jeden nieostrożny krok, a oni pa-

na rozszarpia. Na to nie potrzeba ani spisków, ani intryg w parlamencie, wystarczy dewaluacja franka. Zobaczysz pan, co wtedy zaśpiwają robotnicy. Nie mówię już o rentierach: ci będą krzyczeć: „Viarda pod ścianę!”. Ma pan pięknego Braque'a... nie bardzo lubię jego obrazy, nieco suche, ale ta martwa natura — to jedno z lepszych płócien. Pamięta pan? Braque powiedział, że „artysta powinien linijką sprawdzać natchnienie”. Pan będzie musiał sprawdzać realność socjalistycznych projektów według kursu franka...

Viard zrywał się; miał ochotę odpowiedzieć: zabronimy wywozu kapitałów, ustalimy twardy kurs franka, wpakujemy was do więzienia! Lecz ten wybuch brwał

nie dłużej niż minutę. Viard przypomniał sobie o swojej odpowiedzialności.

— Nie trzeba nam wsadzać kija w szprychy. Przecież stabilizacja rządu — to jedyna gwarancja pokojowego rozwiązania konfliktu.

— Oczywiście. Odnosi się to również i do sytuacji międzynarodowej. Aha, mam nadzieję, że w tej dziedzinie wykorzysta pan doświadczenie naszego wspólnego przyjaciela: Tessata.

Viard zmarszczył się niedostrzegalnie; uważał Tessata za swojego wroga. Ale Dessère nie śledził jego mimiki.

— Jestem pewien — ciągnął Dessère — że uda się panu zachować pokój. Niewątpliwie, Hitler jest nieznosny, lecz lepsze są najdalej idące ustępstwa, niż wojna.

Głos Kaszuba

Listy, jakie napływają do naszej redakcji, dają się grupować w różnoraki sposób i stanowią ciekawy obraz udziału wielkiej liczby ludzi w życiu umysłowym różnych terenów kraju. Można śmiało twierdzić, że obszary południowe naszych ziem są literacko i publicystycznie najruchliwsze. Stąd przychodzą artykuły, proza beletrystyczna, wiersze. Zachód i wschód przemawia już słabiej, choć ostatnio można zanotować kilka całkiem ciekawych pozycji: Poznań, Wrocław, Katowice.

Podobnie rzecz się miała z północą. Tu brakowało głosu prawdziwego przedstawiciela wybrzeża morskiego, kaszuba. Ostatnio jednak przyszedł do nas list z pracami Antoniego Pipera, rybaka z Jastarni. Kiedy się czyta jego zwierzenia, to zdaje się jakby Piper chował się cokolwiek ze swoim zajęciem za plecy rodziny. „Sam tym zawodem mało się trudnię, nie mając zamiłowania do tego ani siły fizycznej” — „obecnie żyję na utrzymaniu brata” — te zdania świadczą, że zawód rybaka traktuje raczej ubocznie.

Mimo tych zastrzeżeń zawodowych to pewne, że Piper jest kaszubem bezspornie, synem rybaka i tamto środowisko zna dobrze bo przebywa w nim od urodzenia. Jego krótki życiorys przypomina podobnego pokroju listy z innych dzielnic Polski. Ale wnosi i pewne rzeczy nowe. Co go z tamtymi łączy? Oto owa wspólna wszystkim jednostkom przemyślnemu duchowo dążność do światła wiedzy hamowana materialnym niedostatkiem i zespołem nieprzyjajnych, często wrogich warunków społecznych następnie piękno nędzy życia naszych t.zw. dołów społecznych.

To samo zagadnienie stanowi tragiczny wydźwięk książek takich jak „Młode pokolenie chłopów”, „Pamiętniki chłopów”, „Życiorysy wiejskich działaczy”, „Życiorys własny robotnika” Jakuba Wojciechowskiego. Tysiące takich było którzy w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach chwytali odrobinkę wiedzy znosząc głód, poniewierkę i poniżenie, a nie raz i pogardę otoczenia.

Co dzieli Antoniego Pipera od innych?

Fragment listu, który drukujemy, sam najlepiej na to odpowiada. Węć środowisko za wodowe, i otoczenie rybackie, ale jest ono raczej zjawiskiem drugorzędym. Na czoło wybija się inna sprawa. Antoni Piper urodził się i żyje nad Bałtykiem. Od wieków w Niemczech parciu na wschód szlak nadbałtycki jest szczególnie ważny. Walki narodowe są tu nadzwyczaj ostre, a straty bolesne, bo tu ludzie dzielą się tylko na Niemców lub Polaków. Walka z zachłannym naciskiem niemieckiego nacjonalizmu zapoczątkowana od czasów osiedlenia się tu zakonu ryckiego „Najświętszej Marii Panny trwa do dziś. To rozumie i odczuwa Antoni Piper, który jest świadomym bojowym Polakiem.

**

Jestem rybakim, a właściwiej — tylko synem rybaka kaszubskiego z Jastarni, bo sam zawodem tym się mało trudnię, nie mając zamiłowania ani siły fizycznej. Urodziłem się takim już „odmieńcem”, jak powiadają o mnie starzy miejscowi kaszubi, którzy woleliby, aby zawsze po ojcu syn dziedziczył jego ziemię. To też nie jestem przez starsze społeczeństwo rozumiany, inaczej już jest z młodym pokoleniem. — Zamiłowanie i pociąg do nauki w krwi mi zaszezępiony. Po ukończeniu szkoły powszechnej pragnąłem usilnie uczyć się dalej, lecz zamiar ten był dla mnie nieosiągalny z powodu ubóstwa i braku zrozumienia rodziców w tej potrzebie. Kilkakrotnie zwracałem się do władz polskich przed wojną w tej sprawie o pomoc, lecz otrzymywałem zawsze jedną odpowiedź: „...z braku środków na ten cel nie możemy panu nic pomóc”. Rozpocząłem więc sam zdobywać okrucy wiedzy, walczyć wprawo o książki, których kupić sobie nie mogłem, ponieważ nie stać mnie na to było. Z książkami kryłem się po strychu, po kątach mieszkani, gdzie ciemno było, psując sobie

wzrok przez dłuższą chorobę nerwów ocznych, szukając porady okulisty, gdy choroba była w poważnym już stadium rozwoju i poważne upośledzenie zatrzymałem do dzisiaj. Posiadałem na moje warunki materialne pokaza już bibliotekę złożoną z 300 dzieł literatury narodowej polskiej i obcej i w czasie okupacji nie tylko zbioru swego nie pomniejszałem, ale nawet znacznie powiększyłem. Mimo rewizji, jakie kilkakrotnie Niemcy u mnie przeprowadzili, książki te zachowałem prawie do ostatniej chwili. Jednak dwa miesiące przed kapitulacją ogólną Niemiec, gdy skrawek półwyspu Helu objęty został także działaniem wojennym, zostałem przymusowo przez SS-owców wywieziony do Rzeszy, a gdy powróciłem w czerwcu do domu, zastałem chatę swą zniszczoną i zupełnie wypładowaną przez Niemców, a książek bardzo niewiele w stanie możliwym znalazłem, podarte i bardzo zniszczone zostały, a wiele brakowało, może spalone zostały przez żołnierzy niemieckich, kwatrujących w chałupie mojej. Wszystko zginęło. Obecnie posiadam ze swoich naprawdę rzeczy: 1 ubranie zniszczone już, parę butów komiśnych i cywilnych, 2 swetry i nieco najkonieczniejszej bielizny: to cały mój własny majątek. Jestem bez pracy ponieważ nie ma dla mnie pracy odpowiedniej w gminie naszej, z czego mi bardzo przykro i smutno, gdyż tak moralnie cierpiełem pod okupacją i tak wyglądałem tej Wolnej Polski! Dziś niejednemu eingedeutsch lub volksdeutsch u nas w lepszych znacznie żyje warunkach, gdy ja nie widzę swej przyszłości zbyt różową. Nieraz nawet żałuję, że nie zginąłem w czasie okupacji niemieckiej od oprawców hitlerowskich za polskość, bo dziś zdaje mi się, jestem nikomu niepotrzebny, conajmniej u nas. Należę obecnie do Polskiego Związku Zachodniego i pracuję honorowo dla dobra kraju, ale żoładek mój nie jest tak idealny, by obszedł się bez niczego, a duch tak samo potrzebuje pokarmu!... Choć nadesłane przeze mnie wiersze pochodzą z niedawnej przeszłości ponurej okupacji i dlatego mogą być uważane przez obywateli za nieaktualne już, gdy Polska jest Niepodległa już dziś, ale to co wtedy czułem i co przeżywałem w duszy niech pozostanie jako dowód, że nie wszyscy kaszubi i nie wszyscy rybacy z półwyspu helskiego czuli się Niemcami i nie wszyscy wyglądali Hitlera i witali wojska. Ja obojętnie dużo przez swoich niby ludzi, przez rybaków, byłem prześladowany i szykanowany za to, że w roku 1939 krótko przed wybuchem wojny polsko-niemieckiej na tablicy ogłoszeniowej przyklejałem wiersze treści antynie-mieckiej i niecąc ducha bojowego przeciw nim wśród miejscowego społeczeństwa. Byli tacy, którzy zrywali pokryciu te afisze moje i, gdy Niemcy weszli do Jastarni, starali się zrobić użytek, innymi słowami dążyli do tego, by mnie zgładzić. Szczęśliwie nie nie zdziłali. Widząc jak niedawni Polacy witali wojsko hitlerowskie, ściskając domnie oficerom i kwiaty wręczając im jako zwycięzcom i, wybawicielom, słysząc z ust, które do niedawna krzyczały na głos: Niech żyje Polska! — słowa obelg przeciw Polsce i Polakom, zniżającą ich honor i honor Rzeczypospolitej, jak nie miało serce moje krwawić nad taką zdradą, fałszywością i zaślepieniem? Nie miałem też rozkosznego życia pomiędzy takimi ludźmi. Nie odnosi się to do wszystkich kaszubów, bo na szczęście byli i inni, którzy może nie płakali z tego powodu, ale Niemców nie chcieli. Obecnie żyję na utrzymaniu brata, który żywi mnie i starego ojca. Ale tak nie może być przecież zawsze (Wiem lekam się przyszłości, bo widzę, że nikt z miejscowego społeczeństwa nie poda mi ręki.

ANTONI PIPER

Viard promieniał. Bał się, że Dessère w obawie przed niebezpieczeństwem z zewnątrz zacznie pobrzękiwać szabelką. Lecz nie! Dessère jest również zwolennikiem pokoju! Viard mocno uściśnął mu dłoń:

— Niech pan będzie pewien — dopóki jestem u władzy — żadnych awantur nie będzie! Nie dopuszczę do tego, by francuscy chłopcy umierali za Abisynczyków lub Czechów.

Pożegnawszy Dessère'a, Viard westchnął z ulgą jak uczeń, który zdał trudny egzamin. Dessère broni swoich interesów, to jasne. Ale teraz wszystko tak się poplątało! Interesy Dessère'a pokrywają się z interesami robotników. Dessère — to szczerzy pacyfista. To znaczy, że Viard reprezentuje nie klasę czy partię, lecz cały naród...

Weszedł sekretarz, niosąc dokumenty do podpisu: polecenie przeniesienia urzędnika, poważnie zaangażowanego w organizację Breteu'la. Viard odsunął dokument:

Po co wszystkich do siebie zrażać?

Zartując dodał:

— Trzeba, mój przyjacielu, nauczyć się rządzić czterdziestoma milionami. W czasach Marksa proletariusze mieli do stracenia tylko swoje kaidany, a mogli zawojować cały świat. A dziś my możemy zgubić cały świat, a zawojować tylko kaidany.

Wyszedłszy na ulicę Dessère otrząsnął się z obrzydzeniem. Wszystko okazało się niespodziewanie łatwe!... I takiemu Viardowi ufa Piotr! Nie tylko Piotr, milion. Tak, ludzie są głupi, w tym zapewne ich zbawienie.

Dessère powinien był pojechać na posiedzenie finansowych ekspertów, ale zamyslił się: zmęczono go tchórzostwo Viarda. Szedł teraz długą ulicą Rivoli. Przeszedłszy do placu Bastylli skrzył w boczną uliczkę i zobaczył świecący się szwidy kłapki w której tańczono. Nie namyślając się wszedł: chciał zapomnieć!

Harmonista fałszywie grał stare foks-troty. Papierowe lampiony i girlandy z bi-bułki nadawały lokalowi charakter teatralnej dekoracji. Wokół Dessère'a tańczyli marynarze, robotnicy, modystki, pokotówki...

Dessère wtrząsnął pięć sous należne za taniec i pochwylił wpół otyłą, piegawą dziewczynę. Pachniała tanim pudrem, z rozkoszy wywracała oczyma. Potem poczęstował ją wiśniakiem.

— Lubi pani tańczyć?

Dziewczyna okazała się bardzo rozmowna:

— Bardzo! Ale rzadko mi się zdarza. Pracuję do szóstej. A czasem muszę jeszcze brać robotę z pracowni do domu. Wie pan, ile mi płacą? Pięćset pięćdziesiąt! Czy z tego można żyć? Mówią że teraz to się wszystko zmienia. Tam gdzie pracuję, oświadczone maistrowej, że jeśli nie dostaniemy podwyżki to będzie strajk. Bo teraz mamy front ludowy i nikt nie chce takiego życia, jak dawniej. Prawda?

Dessère wtrząsnął popiół z fajki i, zmarszczwszy swoje grube brwi, rzekł:

— Pewnie, pewnie! Naprawdę wszystko się zmienia... O, na przykład blondyni tańczą teraz do brunetkami, a Viard każe, żeby brunetki tańczyły z blondynkami. Do widzenia, moja miła panienko! Muszę już wracać do domu.

Nr 11 (39) „WSI” ZAWIERAŁ:

Stanisław Cieślak — O przebudowę rynku rolniczego; Antoni Oleha — Wczoraj; Roman Bralny — Światu i nikomu; Stanisław Pieńak — Podczas pogromu, Przechadzka z ukochaną, Na wigilię 1945 roku, W dzienniku, Opo-wieść, Po drodze do domu, Postój w nieznanej wiosce, Ogród; Czesław Jastrzębiec — Ko-złowski; — Spiewna dusza ludu; — Kaszob-skiego; Witold Zalewski — Marcin Kenpka; Zygmunt Kałużyński — Nowy realizm malar-ski, Stefan Lichański — Autorzy i czytelnicy; E. Marzec — Uwagi nad uwagami; Dyskusja — Kto jest chłopem? oraz listy i ogłoszenia. 4 ilustracje, 8 stron.

UWAGA!

Kto może podać za wysokim wynagrodze-niem bliższe szczegóły o dziecku JANKU FEUERSEISENIE (Jakob Kopel) urodzonym 30 września 1941 r., zamieszkałym: Kraków Podgórze, Rynek 12, którym się opiekowa-ła służąca w okresie wysiedlenia Żydów z ghefta krakowskiego w 1943 r.

Wiadomości prosimy kierować do Redakcji „Wsi”.

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król

FOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Oleha Antoni, Pieńak Stanisław.

KOMITET TERENOWY: Frasiak Andrzej, Nędra-Kubiniak Stanisław

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 1-00-98

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik”.

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000 1/2 kolumny zł 30.000, 1/4 kolumny 15.000, 1/8 kolumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 mm na 1 szpalte.

Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Więś” Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 1-00-98.

D-02722

Drukarnia Nr 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Łódź, Zwirki 2.